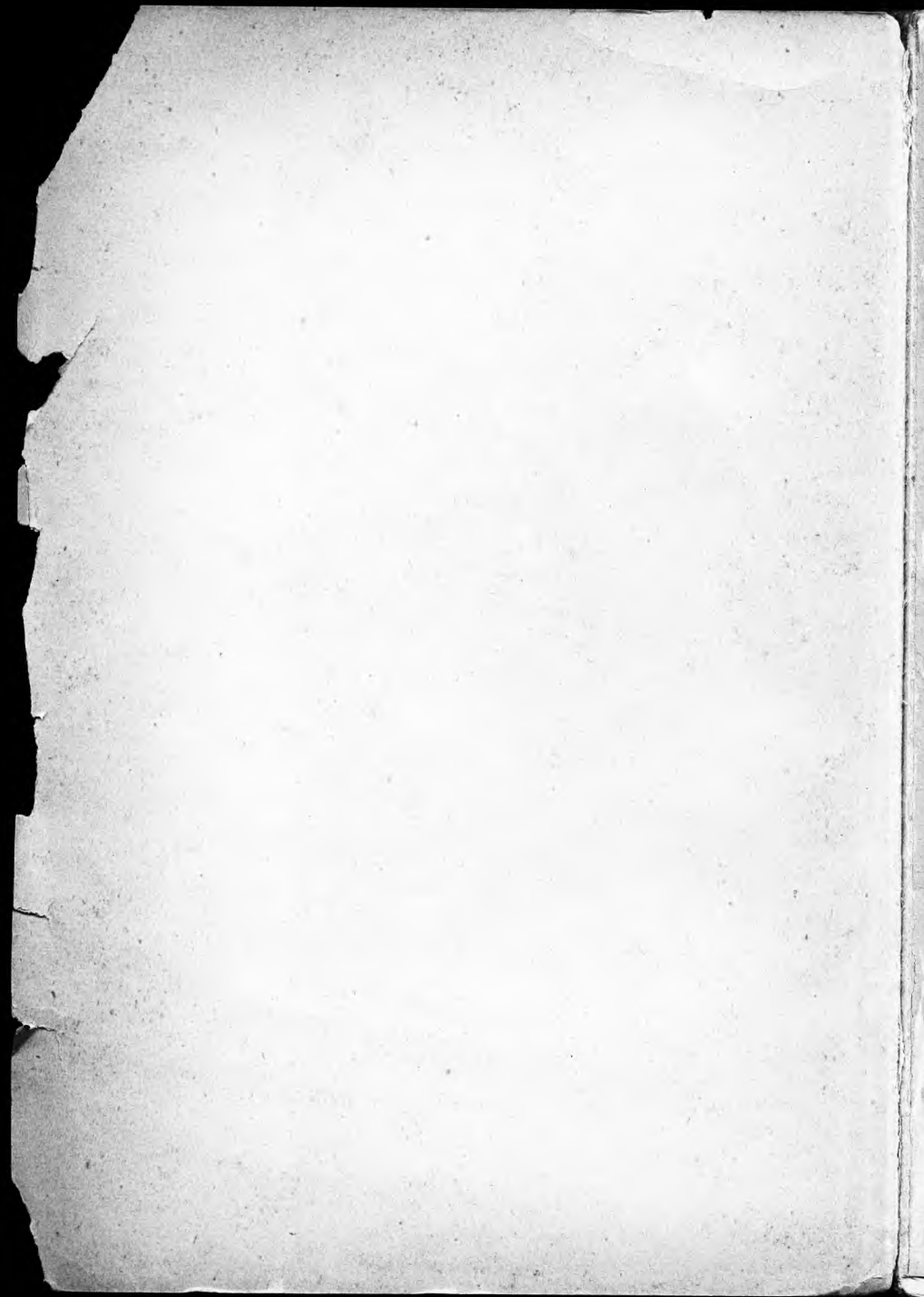


W. SOMERSET-MAUGHAM

SAMOTNE DUSZE

TOM I

TORUŃ
BIBLIOTEKA GAZETY POMORSKIEJ



William

SAMOTNE DUSZE

BIBLIOTEKA GAZETY POMORSKIEJ
pod redakcją
ALFONSA WŁADYSŁAWA KRAUSE

ROK II

TOM 15

Luty — 1939 r.

Bezpłatny dodatek dla prenumeratorów
Gazety Pomorskiej Wyd. K.

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI
Toruń, ul. Bydgoska 56, tel. 2990 i 2970

W. SOMERSET-MAUGHAM

SAMOTNE DUSZE

TOM I

TORUŃ
BIBLIOTEKA GAZETY POMORSKIEJ

Przekład autoryzowany
J. SUJKOWSKIEJ
Tłoczono w Zakł. Graf.
„Drukarnia Banko-
wa”, Warszawa,
Moniuszki
Nr. 11.

—

KSIĄŻNICA MIEJSKA
IM. KOPERNIKA
W TORUNIU

K. 1986. 5416

Odbito z części nakładu „Biblioteki Groszowej”

Przed wizytą

Pani Skinner nie lubiła się spóźniać. Była już ubrana w czarne jedwabie, jak przystało jej wiekowi i żałobie po zięciu, i kładła właśnie kapelusz. Nie była pewna, czy powinna wziąć ten kapelusz (czy inny), gdyż zdobiące go czaple pióra mogły ją narazić na uszczypliwe uwagi niektórych znajomych, jakich spodziewała się spotkać na zebraniu u kanonika. Ma się rozumieć, barbarzyństwem jest zabijać te piękne, białe ptaki i to w okresie mnożenia się li tylko dla ich piór, ale to taka ładna i elegancka ozdoba. A po drugie nie mogła ich przecież nie przyjąć. Zięć byłby się czuł dotknięty. Przywiózł je aż z Borneo w nadziei, że jej zrobi przyjemność. Katinka zachowała się przy tej okazji dosyć niesympatycznie. Pewnie teraz, po tem, co się stało, ma z tego powodu wyrzuty sumienia, ale ona nigdy nie lubiła Harolda.

Pani Skinner, stojąc przed toaletą, włożyła toczek i umocowała go szpilką z dużą główką z agatu. Ostatecznie był to jej najładniejszy kapelusz. Na ewentualną krytykę miała gotową odpowiedź.

— Wiem, że to źle — powie — i samabym tych piór nie kupiła, ale dostałam je od mego biednego zięcia, kiedy był ostatnim razem na urlopie.

To ją usprawiedliwi. Przecież wszyscy okazali jej tyle współczucia! Wyjęła z szuflady czystą chusteczkę do nosa i skropiła ją wodą kolońską. Nigdy nie używała perfum, uważając je za oznakę niezbyt dobrego tonu. Co innego woda kolońska.

Była już prawie gotowa, i oczy jej przeniosły się z lustra w zieloną perspektywę okna. Kanonik Heywood wybrał sobie piękną pogodę na swoją gardenparty. Było ciepło, niebo uśmiechało się czystym błękitem, a drzewa nie utraciły jeszcze świeżej, wiosennej zieloności. Uśmiechnęła się, ujrawszy swą małą wnuczkę, zajętą koło wyznaczonego jej klombu z kwiatami. Pani Skinner martwiła się, że Joasia jest taka blada. Niedobrze się stało, że trzymano ją tak długo w podzwrotnikowym klimacie. Była za poważna na swój wiek, nigdy nie biegała z taką żywością, jak inne dzieci, tylko bawiła się w spokojne gry własnego pomysłu i podlewała kwiaty. Pani Skinner strzepnęła suknię, wzięła rękawiczki i zeszła na dół.

Katinka siedziała przy biurku koło okna i pisała. Jako honorowa sekretarka Damskiego Golfklubu miała zawsze dużo roboty w okresie zawodów. Ale i ona również była gotowa do wyjścia.

— Więc zdecydowałaś się na dżemper — rzekła matka.

Dyskutowały bowiem przy drugim śniadaniu, co

Katinka powinna włożyć, dżemper czy czarną jedwabną suknię. Dżemper był czarno-biały, i według Katinki, bardzo elegancki, ale w gruncie rzeczy nie nadawał się do żałoby. Milka jednak orzekła, że nie widzi w tem nic rażącego.

— Poco mamy wszyscy wyglądać, jakbyśmy świeżo wrócili z pogrzebu — zauważyła. — Harold umarł już osiem miesięcy temu.

Pani Skinner słowa te wydały się twarde i przykre. Milka od powrotu z Borneo była jakaś dziwna.

— Nie przestaniez chyba jeszcze nosić żałoby, kochanie? — zapytała.

Milka nie odpowiedziała wprost.

— Dzisiaj nie nosi się żałoby tak, jak dawniej — odpowiedziała.

Umilkła na chwilę, i kiedy się znów odezwała, w głosie jej zabrzmiał szczególny ton, nowy dla macierzyńskiego ucha. I Katinka zwróciła na to uwagę, bo obrzuciła siostrę badawczem spojrzeniem.

— Jestem pewna, że Harold nie wymagałby ode mnie, żebym nosiła po nim żałobę w nieskończoność.

— Ubrałam się wcześniej, bo chciałam jeszcze coś powiedzieć Milce — rzekła teraz Katinka w odpowiedzi na uwagę matki.

— Co chciałaś jej powiedzieć?

Katinka milczała. Odłożyła swoje papiery i ze ściągniętymi brwiami przeczytała po raz drugi list od damy, skarżącej się, że Komitet najniesprawiedliwiej w świecie zmniejszył jej handicap z dwudziestu

czterech na osiemnaście. Funkcja honorowej sekretarki Damskiego Golfklubu wymaga wiele taktu.

Pani Skinner zaczęła wciągać nowe rękawiczki. Spuszczając stopy sprawiała, że w pokoju panował miły chłód i półmrok. Starsza kobieta spojrzała na wielkie drewniane, wesoło pomalowane ptaszysko. Przedmiot ten wydawał jej się dziwny i barbarzyński. Harold oddał go jej na przechowanie jako coś wartościowego. Miał on podobno jakieś religijne znaczenie i zrobił na kanoniku Heywoodzie wielkie wrażenie. Na ścianie nad sofą wisiała broń malajska — zapomniała nazw — a na stolikach połyskiwały srebrne i brązowe przedmioty, prezenty Harolda z różnych czasów. Lubiła Harolda. Poszukała wzrokiem jego fotografii, stojącej zwykle na fortepianie obok fotografii dwóch córek, wnuczki, siostry i siostrzeńca.

— Katinko, co się stało z fotografią Harolda? — zapytała.

Katinka odwróciła głowę. Fotografii nie było.

— Ktoś ją zabrał — odpowiedziała.

Zdziwiona i zaintrygowana wstała i podeszła do fortepianu. Fotografje były ustawione tak, żeby nie rzucało się w oczy, że jedna ubyła.

— Może Milka zabrała ją do swojego pokoju — rzekła pani Skinner.

— Byłabym to zauważyła. A zresztą Milka ma kilka fotografii Harolda, ale żadnej nie trzyma na wierzchu.

Starszej kobiecie wydawało się bardzo dziwne, że córka chowa fotografie męża, tak, jakby nie chcia-

ła go sobie przypominać. Raz jej to powiedziała, lecz nie zymała żadnej odpowiedzi. Od powrotu z Borneo młoda wdowa zachowywała szczególne milczenie i nie zdawała się pragnąć współczucia, które matka byłaby jej tak chętnie okazała. Nie lubiła nawet wspominać o swojej wielkiej stracie. Ludzie różnie reagują na nieszczęście. Pan Skinner zdecydował, że najlepiej ją pozostawić samej sobie. Myśl o mężu skierowała tok refleksyj pani domu na bliską wizytę.

— Ojciec pytał się, czy powinien wziąć cylinder — zauważyła. — Powiedziałam, że chyba tak.

Przyjęcie u kanonika Heywooda zapowiadało się wspaniale. Miały być poziomkowe i waniljowe lody od Boddy'ego. Mrożoną kawę przygotowywano w domu. Kto tam nie miał być! Między innymi biskup Hong-Kongu, stary kolega szkolny kanonika, który miał mówić o misjach w Chinach. Pani Skinner była podniecona i zainteresowana. Nic dziwnego! Córka jej bawiła na Wschodzie przez osiem lat, a zięć był rezydentem na Borneo. Toteż spotkanie z dygnitarzem miało dla niej większe znaczenie niż dla tych, którzy nigdy nic nie łączyło z Kolonjami.

— Co mogą wiedzieć o Anglii ci, którzy znają tylko Anglję? — jak mawiał pan Skinner.

Wszedł właśnie do pokoju. Był prawnikiem jak jego ojciec i miał biuro porad na Lincoln's Inn Fields. Jeździł do Londynu rano, a wracał wieczorem. Na garden-party kanonika mógł towarzyszyć żonie i córkom tylko dlatego, że stary przyjaciel urządzał ją

w sobotę. Pan Skinner dobrze się prezentował w żakiecie i w spodniach w paski — może, nie, ściśle biorąc, dystyngowanie, ale zupełnie przyzwoicie. Wyglądał na szanownego, poważnego adwokata, czem w rzeczywistości był. Jego firma nigdy nie podjęła się żadnej niewyraźnej sprawy, i jeżeli zgłaszający się klient nie był w porządku z honorem, pan Skinner robił poważną minę.

— Nie, nie moglibyśmy podjąć się przeprowadzenia tej sprawy — oznajmiał. — Niech się szanowny pan zwróci do kogo innego.

Pisał na bloku jakieś nazwisko i adres i, wydartwszy kartkę, podawał ją klientowi.

— Na pana miejscu zgłosiłbym się tam i tam. Niech się pan na mnie powoła, to zrobią dla pana, co tylko będą mogli.

Pan Skinner miał gładko wygoloną twarz i był bardzo łyśy. Blade, wąskie wargi zacięły się w ostrą linię, ale niebieskie oczy patrzyły łagodnie i nieśmiało. Bardzo zniszczona twarz uderzała bezkrwistą, szarą barwą.

— A, włożyłeś nowe spodnie — zauważyła żona.

— Dobra okazja — odpowiedział. — Nie wiem, czy powinienem włożyć w klapę jaki kwiatek?

— Lepiej nie, ojciec — odparła Katinka. — Nie byłoby to w dobrym tonie.

— To bardzo powszechny zwyczaj — wtrąciła pani Skinner.

— Dobry dla urzędników i temu podobnego towarzystwa — uzupełniła Katinka. — Heywoodowie

zmuszeni są zapraszać różnych ludzi. A zresztą jesteśmy w żałobie.

— Ciekaw jestem, czy po przemówieniu biskupa będzie kwesta — rzekł pan Skinner.

— Chyba nie — odparła żona.

— Uważam, że byłoby to w złym tonie — dorzuciła Katinka.

— W każdym razie lepiej być na to przygotowanym — ciągnął pan domu. — Dam za nas wszystkich. Zastanawiałem się, czy wystarczy ewentualnie dziesięć szylingów, czy też trzeba będzie dać cały funt.

— Jeżeli już dawać, to raczej więcej niż mniej — zaopiniowała córka.

— Namyślę się jeszcze. Nie chciałbym dać mniej niż inni, ale z drugiej strony niema powodu dawać więcej, niż potrzeba.

Katinka schowała papiery do szuflady biurka i wstała. Spojrzała na zegarek w bransoletce.

— Czy Milka gotowa? — zapytała pani Skinner.

— Jeszcze mamy czas. Jesteśmy zaproszeni na czwartą, ale uważam, że nie powinniśmy tam przybyć wcześniej jak o wpół do piątej. Kazałem Davisowi zajechać o czwartej dwadzieścia.

Zazwyczaj prowadziła samochód Katinka, i tylko w razie wyjątkowych okazji Davis, który był ogrodnikiem, ubierał się w liberję i grał rolę szofera. Wyglądało to elegancko i naturalnie. Katinka, mając na sobie nowy džemper, nie kwapiła się do prowadzenia. Widok matki, naciągającej gorliwie nowe rękawiczki, przypominał jej, że musi włożyć swoje. Po-

wąchała je, chcąc się przekonać, czy czuć je praniem. Zapach był bardzo słaby. Zadecydowała, że nikt go nie poczuje.

Wkońcu drzwi otworzyły się, i weszła Milka w żałobnych wdowich szatach. Pani Skinner nie mogła się przyzwyczać do tego stroju. Wiedziała naturalnie, że Milka musi go donosić do roku. Szkoda, że nie było jej w tem do twarzy. Niektóre kobiety tak dobrze wyglądają w czerni. Przymierzyła raz kapelusz Milki z białą taśmą i długim welonem i orzekła, że wygląda w nim świetnie. Naturalnie miała nadzieję, że drogi Alfred ją przeżyje, ale jeżeli Pan Bóg zrzędzi inaczej, to do końca życia będzie nosiła żałobę. Tak, jak królowa Wiktorja. Co innego Milka, kobieta młoda, bo trzydziesto-sześćoletnia. Smutna to rzecz zostać tak wcześnie wdową. I nie ma wielkich szans wyjścia ponownie zamaż. Katinka też już pewnie nie wyjdzie. Tylko o rok młodsza od siostry. W czasie ostatniej wizyty Milki i Harolda podsunęła im, że powinni ją zabrać z sobą. Harold przystał na to chętnie. Milka zaprotestowała. Pani Skinner nie rozumiała, dlaczego. Dziewczyna znalazłaby może okazję wyjścia zamaż. Pewnie, że nie chcieliby się jej pozbywać, ale przecież byłaby szczęśliwsza, gdyby wyszła zamaż. Miejscowi znajomi mężczyźni byli wszyscy żonaci. Milka powiedziała, że tamtejszy klimat jest niezdrowy. Prawda, że sama straciła cerę. Niktby teraz nie pomyślał, że Milka była ładniejsza od siostry. Katinka wyładniała z wiekiem. Coprawda niektórzy twierdzą, że jest za chuda. Po-

mimo to, teraz, kiedy obcięła włosy i nabrała kolorów, grając w golfa bez względu na pogodę, zrobiła się wybitnie przystojna. Nie da się to powiedzieć o biednej Milce. Boże, jaką ona ma teraz figurę! Nie jest wysoka i roztyła się do niemożliwości. Krępa, przysadzista... Stanowczo za tłusta. Pewnie naskutek tropikalnych upałów, odbierających wszelką ruchliwość. Cera jej stała się żółta i ziemista, a błękitne oczy, stanowiące niegdyś jej największą ozdobę, spłowiały i zmętniały.

— Powinna coś zrobić z tą szyją — rozmyślała pani Skinner. — Wygląda jak rzeźniczka.

Mówiła o tem z mężem. Pan Skinner zauważył, że Milka ma widocznie skłonność do otyłości. Możliwe, ale nie powinna się zaniedbywać. Pani Skinner postanowiła poruszyć tę sprawę z córką, naturalnie dopiero po skończeniu żałoby, kiedy jej rozpacz trochę się ukoi. Rada była, że ma ten pretekst do odwleczenia rozmowy, której perspektywa przyprawiała ją o lekkie zdenerwowanie. Bo Milka zmieniała się i sposępniała. Matka czuła się teraz w jej obecności lekko skrępowana. Miała zwyczaj wypowiedzania głośno wszystkiego, co przechodziło jej przez głowę. Milka zaś, w razie, gdy powiedziało się coś (ot, żeby powiedzieć), zachowywała się tak, że niewiadomo było, czy usłyszała, czy nie. Pani Skinner czuła się nieraz tak zirytowana tą niegrzeczną manierą, że aby odeprzeć pokusę powiedzenia jej czegoś ostrego, musiała sobie przypominać, że od śmierci biednego Harolda upłynęło dopiero osiem miesięcy.

Światło z okna padło przelotnie na ponurą twarz wchodzącej wdowy. Katinka, stojąc tyłem do okna, wlepiła oczy w siostrę.

— Milko — rzekła po chwili milczenia — chciałam ci coś powiedzieć. Dziś rano grałam w golfa z Gladys Heywood.

— Pobiłaś ją? — zapytała Milka.

Gladys Heywood była to jedyna niezamężna córka kanonika.

— Powiedziała mi coś o tobie. I uważam, że powinnam ci to powtórzyć.

Oczy wdowy oderwały się od siostry i zatrzymały się na małej dziewczynce, podlewającej kwiaty w ogrodzie za oknem.

— Czy mama mówiła Annie, żeby dała Joasi herbatę w kuchni? — zapytała.

— Mówiłam. Dostanie, gdy służące wypiją swoją.

Katinka spojrzała na siostrę chłodnym wzrokiem.

— Biskup w drodze do kraju spędził parę dni w Singapore — ciągnęła dalej. — Lubi podróżować. Był również w Borneo i poznał tam mnóstwo twoich znajomych.

— Zainteresujesz go, kochanie — wtrąciła pani Skinner. — A czy znał biednego Harolda?

— Owszem. Spotkał się z nim w Kuala Solor. Doskonale go pamięta. Mówi, że wiadomość o jego śmierci zrobiła na nim wstrząsające wrażenie.

Milka usiadła i zaczęła wciągać czarne rękawicz-

ki. Milczenie, jakim zareagowała na uwagi siostry, wydało się pani Skinner bardzo dziwne.

— A propos, Milko — rzekła. — Fotografja Harolda znikła z fortepianu. Czyś ty ją wzięła?

— Tak, ja ją schowałam.

— Myślałam, że przyjemniej ci będzie mieć ją na oczach.

Milka znów nie odpowiedziała. Małomówność jej mogła wyprowadzić człowieka z cierpliwości.

Katinka zwróciła się nagle do niej twarzą.

— Milko, dlaczegoś nam powiedziała, że Harold umarł na febrę?

Wdowa nie poruszyła się i nie odezwała. Oczy jej patrzyły spokojnie na siostrę, ale ziemista twarz pokryła się ciemnym rumieńcem.

— Co to ma znaczyć, Katinko? — zapytał ze zdziwieniem pan Skinner.

— Biskup mówi, że Harold popełnił samobójstwo.

Pani Skinner wydała stłumiony okrzyk, ale mąż uciszył ją błagalnym gestem ręki.

— Czy to prawda, Milko?

— Prawda.

— Dlaczegoś nam o tem nie powiedziała?

Wdowa milczała przez chwilę, bawiąc się bezmyślnie brązową figurką, która stała przy niej na stoliku. Był to również prezent od Harolda.

— Uważałam, że ze względu na Joasie lepiej będzie, jeżeli wszyscy będą myśleć, że jej ojciec umarł na febrę. Nie chciałam, żeby o tem wiedziała.

— Postawiłaś nas w okropnie przykrem położeniu — rzekła gniewnie Katinka. — Gladys Heywood robiła mi wyrzuty, że nie powiedziałam jej prawdy. Trudno mi ją było przekonać, że sama nic o tem absolutnie nie wiedziałam. Mówiła, że ojciec jej był bardzo wzburzony. Mówił, że zważywszy na naszą długą przyjaźń, serdeczne stosunki i na fakt, że wam dawał ślub itd. itd., powinniśmy mu byli okazać zaufanie. A w każdym razie, jeżeli nie chcieliśmy mu powiedzieć całej prawdy, to nie powinniśmy byli kłamać.

— Przyznaję mu najzupełniejszą rację — rzekł kwaśno pan Skinner.

— Naturalnie usprawiedliwiłam się wobec Gladys, że nie stało się to z naszej winy. Powiedzieliśmy im to, co wiedzieliśmy sami — co tyś nam powiedziała.

— Mam wrażenie, że nie popsulo ci to gry — uważała Milka.

— Pozwól sobie powiedzieć, moja droga, że twoja uwaga jest w najwyższym stopniu niewłaściwa — wykrzyknął ojciec.

Wstał z krzesła, przeszedł przez pokój i siłą przyzwyczajenia zatrzymał się przed kominkiem z odrzuconemi wtył połami.

— To była moja osobista sprawa — odpowiedziała Milka — i miałam prawo zachować ją w tajemnicy.

— Chyba nie żywisz żadnego uczucia dla matki,

jeżeli jej nawet tego nie powiedziałaś — wtrąciła sentencjonalnie pani Skinner.

Wdowa wzruszyła ramionami.

— Mogłaś wiedzieć, że to prędzej czy później wyjdzie najaw — rzekła Katinka.

— Jakim sposobem mogłam przewidzieć, że dwóch starych plotkarzy zainteresuje się moją osobą?

— Biskup mówił, że był na Borneo. Naturalna rzecz, że Heywoodowie zapytali go wtedy, czy znał ciebie i Harolda.

— To nie ma nic do rzeczy — przerwał pan Skinner. — Uważam, że powinnaś nam była wyjawić prawdę, a my zdecydowalibyśmy, jak się do tej katastrofy ustosunkować. Jako prawnik mogę cię zapewnić, że ukrywanie się z czemś na dłuższy dystans pogarsza sytuację.

— Biedny Harold — szepnęła pani Skinner, i po jej czerwonych policzkach spłynęły dwie wielkie łzy. — To okropne. Takim był dla mnie dobrym zięciem! Co go doprowadziło do tego rozpaczliwego kroku?

— Klimat.

— Milko, proszę, opowiedz nam, jak się to stało — zainterpelował ojciec.

— Katinka wam powie.

Katinka zawahała się. To, co miała do powiedzenia, było rzeczywiście okropne. Że też w ich rodzinie mogło się zdarzyć coś podobnego!

— Biskup mówi, że poderzwał sobie gardło.

Pani Skinner wydała odgłos, podobny do zdła-

wionego jęku, i impulsywnie przysunęła się do osieroczonej córki, chcąc ją otoczyć ramionami.

— Moje biedne dziecko — załkała.

Ale Milka zachnęła się ostentacyjnie.

— Niech mi mama da święty spokój. Nie znoszę, jak się kto nade mną rozczula.

— Doprawdy, Milko... — zaczął gniewnie ojciec i urwał.

Jego zdaniem młoda kobieta zachowała się antypatycznie.

Pani Skinner otarła starannie chusteczką oczy, westchnęła, potrzęsnęła głową i powróciła do swego krzesła. Katinka bawiła się nerwowo długim łańcuszkiem, jaki miała na szyi.

— Absurd, żeby od znajomej dowiadywać się o szczegółach śmierci rodzzonego szwagra. Wyszliśmy wszyscy w okropnie głupim świetle. Biskup chciałby cię bardzo zobaczyć, Milko; chce ci wyrazić swoje współczucie.

Urwała. Wdowa milczała.

— Opowiadał, że Milki i Joasi nie było wtedy w domu i, kiedy powróciły, Milka znalazła Harolda leżącego na łóżku bez życia.

— Musiałś doznać okropnego wstrząśnienia — rzekł ojciec.

Matka zaczęła znowu płakać, ale Katinka dotknęła łagodnie jej ramienia.

— Nie płacz, mateczko — poprosiła. — Będziesz miała czerwone oczy, i co sobie ludzie pomyślą!

Zapadło milczenie. Pani Skinner wycierała oczy,

Starając się opanować wzburzenie. Dziwne jej się wydawało, że właśnie w tej chwili miała na głowie toczek z egretą, ofiarowaną jej przez biednego Harolda.

— To jeszcze nie wszystko — odezwała się znów Katinka.

Milka podniosła na siostrę spokojne, lecz baczne spojrzenie chłodnych oczu. Miała minę osoby, która czeka na jakieś słowo i boi się je przeoczyć.

— Nie chciałabym cię dotknąć, moja droga — ciągnęła dziewczyna — ale uważam, że powinnam ci powiedzieć o wszystkim, czego się dowiedziałam. Biskup mówi, że Harold pił.

— Boże, mój Boże! — krzyknęła pani Skinner. — To coś okropnego! Czy Gladys ci to powiedziała? Coś ty jej na to odpowiedziała?

— Że to absolutnie nieprawda.

— Oto do czego doprowadza robienie tajemnic — rzekł z irytacją pan Skinner. — Zawsze się tak dzieje. Próbuje zataić jakąś rzecz, to rozejdą się o niej pogłoski dziesięć razy gorsze od prawdy.

— Biskup dowiedział się w Singapurze, że Harold popełnił samobójstwo w przystępie delirium tremens. Powinnaś temu zaprzeczyć, Milko, ze względu na nas wszystkich.

— To straszne rozpuszczać takie wieści o zmarłym — powiedziała pani Skinner. — I jaki to będzie miało wpływ na przyszłość Joasi!

— Ale co właściwie dało początek tym plot-

kom, Milko? — zapytał ojciec. — Harold był zawsze bardzo wstrzemięźliwy.

— Tutaj — rzekła wdowa.

— Czy pił?

— Jak ryba.

Odpowiedź była tak niespodziana, a ton tak sardoniczny, że wszystkich przeszło drzenie.

— Milko, jak możesz mówić w taki sposób o swoim zmarłym mężu? — krzyknęła pani Skinner, załamując ręce w obcisłych nowych rękawiczkach. — Nie rozumiem cię, moje dziecko! Taka byłaś dziwna od chwili powrotu! Nigdybym nie uwierzyła, że moja córka jest zdolna do takiej oschłości uczuć.

— Daj pokój, mamusiu — przerwał mąż. — Później o tem pomówimy.

Podszedł do okna, wyrzwał na mały, słoneczny ogród i powrócił na środek pokoju. Wyjął z kieszeni binokle i, choć nie były mu w danej chwili potrzebne, wytarł je chustką do nosa. Wdowa popatrzyła na niego ironicznie. Zachowanie się jej było poprostu cyniczne. Pan Skinner poczuł się głęboko dotknięty. Skończył z całotygodniową pracą i do poniedziałku był wolny. Powiedział żonie, że garden-party była mu nie na rękę i wolałby wypić spokojnie herbatę u siebie w ogrodzie, cieszył się jednak w głębi duszy na czekającą go rozrywkę i na spotkanie z biskupem, choć sama sprawa misyj w Chinach niewiele go obchodziła. I teraz zrobiła się awantura! Nie lubił być kompromitowanym. Ładna historia dowiedzieć się ni z tego, ni z owego, że rodzony zięć był pijakiem i samo-

bójcą. Milka gładziła w zamysleniu swoje białe mankiety. Jej chłód wytrącił go z równowagi, ale zamiast do niej, zwrócił się do młodszej córki:

— Dlaczego nie usiądziesz, Katinko? Chyba nie brak krzeseł w pokoju?

Katinka przysunęła sobie krzesło i usiadła na niem w milczeniu. Pan Skinner zatrzymał się nawprost Milki.

— Oczywiście rozumiem, dlaczegoś nam powiedziała, że Harold umarł na febrę. Uważam, że źle postąpiłaś dlatego, że taka rzecz — prędzej czy później — zawsze wyjdzie najaw. Nie wiem, jak dalece to, co biskup powiedział Heywoodom, zgadza się z rzeczywistością, ale jeżeli przychylił się do mojej rady, to opowiesz nam wszystko tak szczegółowo, jak tylko będziesz mogła. Wtedy zobaczymy. Nie możemy się łudzić, że cała rzecz zostanie między nami, Gladys i kanonikiem. W takiej miejscowości, jak nasza, ludzie lubią wiedzieć o wszystkim. Będzie nam łatwiej przeciwstawić się ogólnej ciekawości, jeżeli poznamy całą prawdę.

Pani Skinner i Kasia pomyślały, że postawił kwestję bardzo rzeczowo. Czekwały na odpowiedź Milki. Wdowa słuchała z apatyczną twarzą, z której znikł nagły rumieniec, ustępując miejsca zwykłej ziemistej szarości.

— Nie wiem, czy wam ta prawda przypadnie do gustu — odrzuciła.

— Wiesz chyba, że możesz liczyć na nasze

współczucie i zrozumienie — rzekła poważnie Katinka.

Milka obrzuciła ją szybkim spojrzeniem, i na jej zaciśniętych ustach zaigrał cień uśmiechu, poczem przyjrzała się uważnie wszystkim trojgu. Pani Skinner doznała niemiłego uczucia i pomyślała, że lustruje ich jak manekiny u krawca. Owdowiała kobieta zdawała się żyć w innym świecie niż oni i nie mieć z nimi nic wspólnego.

— Wiecie, że wychodząc za Harolda, nie byłam w nim zakochana — zaczęła z namysłem.

Pani Skinner miała wydać jakiś okrzyk, kiedy powstrzymał ją szybki gest męża, coprawda zaledwie dostrzegalny, ale po tak długim pożyciu dostatecznie rozumiały. Milka mówiła dalej. Głos jej płynął równo, wolno, prawie bez intonacji.

— Miałam dwadzieścia siedem lat i nie starał się o mnie nikt inny. Prawda, że on miał czterdzieści cztery lata i wydawał mi się stary, ale miał bardzo dobre stanowisko, nieprawdaż? Lepsza partja z pewnością mi się nie trafiła.

Pani Skinner zebrało się znów na płacz, lecz przypomniała sobie wporę wizytę.

— Naturalnie, teraz rozumiem, dlaczego schowałaś jęgo fotografię — westchnęła boleśnie.

— Mamo — zawołała Katinka.

Była to dobra fotografia, pochodząca z czasów, gdy Harold był narzeczonym Milki. Pani Skinner uważała go zawsze za bardzo przystojnego mężczyznę. Był dobrze zbudowany, wysoki, i może trochę za

otyły, ale trzymał się prosto i miał imponujące wzięcie. Już nawet wtedy świecił małą łysiną, ale w obecnych czasach mężczyźni szybko łysieją, i sam zresztą mówił, że hełmy korkowe źle wpływają na włosy. Poza tem miał małe czarne wąsy i silnie opaloną cerę. Naturalnie najwięcej zdobyły go piękne naprawdę oczy, wielkie, ciemne, takie same, jak u Joasi. W rozmowie był bardzo interesujący. Katinka zarzucała mu pompatyczność. Pani Skinner nie zgadzała się z nią na tym punkcie i zresztą nie miałaby za złe tego człowiekowi, zajmującemu wysokie stanowisko. Ale kiedy jeszcze zauważyła (prawie odrazu), że miły gość zajął się Milką, powzięła dla niego wielką sympatję. Zawsze był ogromnie uprzejmy dla pani domu, to też kiedy opowiadał o swej pracy i polowaniach na grubą zwierzynę, słuchała go tak, jakby ją to naprawdę interesowało. Katinka twierdziła, że konkurent siostry ma o sobie wielkie wyobrażenie. Matka wszakże przyjmowała bezkrytycznie pochlebne auto-oceny bliźnich. Milka prędko się zorientowała, na co się zanoszi, i choć nic nie powiedziała, pani Skinner wy czuła instynktownie, że jeżeli dojdzie do oświadczyn, Harold zostanie przyjęty.

Harold bawił u znajomych, którzy przepędzili na Borneo trzydzieści lat i przedstawiali tamtejsze stosunki w dodatniem świetle. Nie było się czego bać ewentualnej podróży i zamieszkania na dalekiej wyspie. Naturalnie dzieci, jeśli by je mieli, po skończeniu lat siedmiu przyjechałyby do kraju, ale narazie nie było to aktualne. Pani Skinner zaprosiła Harolda na

obiad i powiedziała mu, że na podwieczorek są zawsze w domu. Gość sprawiał wrażenie człowieka, który niebardzo wie, co z sobą zrobić. Pod koniec oznaczonego pobytu u starych znajomych, pani Skinner dała mu do zrozumienia, że byłiby bardzo radzi, gdyby i im podarował ze dwa tygodnie swego urlopu. I właśnie w ciągu tych dwóch tygodni Milka i Harold zamienili pierścionki. Państwo Skinner wyprawili im efektowne wesele, poczem młoda para wyjechała do Wenecji na miodowy miesiąc, a stamtąd na Wschód. Milka pisała ze wszystkich portów, o jakie zawadzali po drodze. Wydawała się szczęśliwa.

— W Kuala Solor wszyscy byli dla mnie bardzo dobrzy i uprzejmi — mówiła dalej.

Kuala Solor było to główne miasto państwa Sembulu.

— Stanęliśmy w domu rezydenta. Zasymano nas zaproszeniami. Każdy chciał nas mieć u siebie na obiedzie. Parę razy słyszałam, jak mężczyźni prosili Harolda, żeby się z nimi napił, ale on zawsze odmawiał pod pozorem, że żonaty człowiek musi się szanować. Nie wiedziałam, dlaczego te oświadczenia przyjmowano śmiechem. Pani Gray, żona rezydenta, powiedziała mi, że wszyscy oni są bardzo radzi, że Harold się ożenił i że los samotnych kawalerów na dalekich etapach jest poprostu okropny. Przy wyjeździe z Kuala Solor pani Gray pożegnała się ze mną w zabawnie dziwny sposób, zupełnie tak, jakby mi oddawała Harolda uroczyście pod opiekę.

Wszyscy słuchali w milczeniu. Katinka nie spu-

szczała oczu z obojętnej twarzy siostry. Pan Skinner patrzył prosto przed siebie na broń malajską, krysy i parangi, porozwieszane na ścianie nad sofą, na której siedziała jego żona.

— Dopiero w półtora roku później za drugim po-
bytem w Kuala Solor dowiedziałam się, dlaczego oni
tak się dziwnie zachowywali.

Milka wydała niesamowity odgłos, podobny do
echa szyderczego śmiechu.

— Wiedziałam już wtedy wiele rzeczy, których
się początkowo nie domyślałam. Harold przyjechał do
Anglii specjalnie poto, żeby się ożenić. Było mu pra-
wie wszystko jedno, z kim. Czy **mama** pamięta, ja-
keśmy na niego zastawiały sieci? Nie było potrzeby.

— Nie rozumiem, Milko, co chcesz przez to po-
wiedzieć — zaprotestowała cierpko matka, gdyż in-
synuacja córki dotknęła ją w przykry sposób. — Wi-
działam, że mu się podobasz.

Milka wzruszyła ramionami.

— Był nałogowym pijakiem. Kładł się zawsze
spać z butelką wódki, którą do rana wypróżniał. Po-
wiedziano mu, że jeżeli nie przestanie pić, dostanie
dymisję. Właśnie wtedy wyjeżdżał na urlop do Anglii.
Zwierzchnik poradził mu, żeby się ożenił i w ten spo-
sób zapewnił sobie stałą opiekę. Harold ożenił się
ze mną, bo potrzebny mu był ktoś, ktoby nad nim
czuwał. W Kuala Solor robiono zakłady, jak długo
wytrzyma bez picia.

— Ależ on się w tobie zakochał — przerwała
pani Skinner. — Nie wiesz, jak o tobie ze mną roz-

mawiał i co do mnie napisał, gdy pojechałaś do Kuala Solor przed przyjściem na świat Joasi.

Milka popatrzyła na matkę, i jej szare policzki zabarwiły się ciemnymi wypiekami, podczas gdy ręce, złożone spokojnie na kolanach, zdrząły nerwowo. Przeżywała znów myślą pierwsze miesiące swego małżeństwa. Łódź rządowa zawiozła ich do ujścia rzeki. Noc przepędzili w bungalowie, który Harold nazwał żartobliwie swoją nadmorską rezydencją. Na drugi dzień wsiedli do prahu i popłynęli dalej. Sądząc z przeczytanych powieści, wyobrażała sobie, że rzeki na Borneo są czarne i złowieszcze. Ale nie. Po niebieskiem niebie płynęły drobne białe chmurki, a nad wodą zieleniły się w słońcu mangowce i palmy. Na obu brzegach rozciągała się nieprzebyta dżungla, zaś woddali, na tle nieba, rysowała się poszarpana sylwetka góry. Powietrze było czyste i orzeźwiające. Zdawało jej się, że wstąpiła na przyjacielską, żyzną ziemię. Czowała się swobodna i wesoła. Wypatrywali we dwoje małpy, kołyszące się na gałęziach drzew, i raz Harold pokazał jej krokodyla, podobnego do kłody drzewa. Na przystani powitał ich zastępca rezydenta w płóciennym garniturze w asyście dwunastu żołnierzy, którzy oddali im honory wojskowe. Następnie przedstawiono jej wice-rezydenta. Nazywał się Simpson.

— Na Jowisza, panie szefie — zwrócił się do Harolda. — Rad jestem, że pana widzę. Było mi tu bez pana okropnie samotnie.

Bungalow rezydenta stał na szczycie niewielkie-

go wzgórze pośród ogrodu, w którym pleniły się dzi-ko jaskrawe kwiaty. Był on trochę zaniedbany i niedostatecznie zaopatrzony w meble, ale pokoje były chłodne i dość obszerne.

— Kampong jest tam — rzekł Harold, wskazując palcem.

Zwróciła oczy w kierunku jego gestu, i w teje chwili z pomiędzy drzew kokosowych wzbil się głos gongu. Doznała dziwnego ściśnięcia serca.

Chociaż nie miała wiele do roboty, dni upływały jej dosyć prędko. O świcie chłopak przynosił im herbatę. Rozsiadali się na werandzie, rozkoszując się wonnem powietrzem poranka (Harold — w sarongu, ona — w szlafroczkach), poczem ubierali się do śniadania. Po śniadaniu Harold szedł do biura, a ona zabierała się do nauki języka malajskiego. Po tiffinie on znów szedł do biura, ona zaś kładła się spać. Wypięszy podwieczorek, szli na spacer lub grali w golfa na placu o dziewięciu dołkach, urządzonym przez Harolda na równym kawałku wykarczowanej dżungli. Noc zapadała o szóstej. Zjawiał się Simpson, i następowała pogawędka aż do późnego obiadu. Niekiedy Harold i Simpson grali w szachy. Pachnące wieczory były nieporównanie piękne. Świecące owady zamieniały krzewy pod werandą w rozdygotane sygnały świetlne. Okryte kwieciami drzewa przepajały powietrze słodką wonią. Po obiedzie czytali gazety, które wyszły w Londynie przed sześciu tygodniami, poczem udawali się na spoczynek. Milkę cieszyło stanowisko zamężnej kobiety, posiadającej swój wła-

sny dom, i zadowolona była ze służących-krajowców, ubranych w wesołe sarongi i uwijających się boso po bungalowie, cichych, ale przyjacielskich. Dumna była, że jest żoną rezydenta. Harold imponował jej biegłością, z jaką mówił po malajsku, nakazującym posłuch sposobem bycia oraz wielką godnością. Chodziła niekiedy do sądu przysłuchiwać się, jak sądzi sprawę. Różnorodność jego obowiązków i kompetencja, z jaką się z nich wywiązywał, budziła w niej szacunek. Simpson powiedział jej, że Harold rozumiał świetnie psychologię krajowców. Był stanowczy, zrównoważony, pogodny i taktowny, które to cechy są niezbędne w stosunkach z nieśmiałą, mściwą i podejrzliwą rasą malajską. W Milce obudził się pewnego rodzaju podziw dla męża.

Już prawie rok byli małżeństwem, kiedy zatrzymali się u nich na parodniowy pobyt dwaj angielscy przyrodnicy, udający się w głąb lądu. Przywieźli ze sobą list polecający od gubernatora, i Harold oznajmił, że trzeba będzie odpowiednio ich przyjąć. Wizyta ich była miłą niespodzianką. Milka zaprosiła na obiad i pana Simpsona (mieszkał w forcie i jadał z nimi obiady tylko w niedziele), a po obiedzie mężczyźni zasiedli do brydża. Opuściła ich niebawem i udała się na spoczynek, ale tak hałasowali, że przez pewien czas nie mogła zasnąć. O niewiadomej godzinie obudził ją jakiś stuk — wszedł Harold. Udawała, że śpi. On postanowił tymczasem wziąć kąpiel i potem dopiero się położyć. Łazienka znajdowała się bezpośrednio pod ich sypialnią. Zaczął scho-

dzic po schodach i najwidoczniej potknął się, bo rozległ się głośny łomot. Zaklął i dostał gwałtownych torsyj. Słyszała, jak wylewał na siebie kubły wody. Po paru minutach powrócił tym razem pocichu i położył się do łóżka. Milka udawała, że śpi. Ogarnęło ją głębokie obrzydzenie. Harold upił się. Postanowiła pomówić z nim zaraz rano. Co sobie pomysleli angielscy goście! Ale z rana Harold był tak pełen godności, że nie ośmieliła się go zainterpelować. O ósmej zasiedli wszyscy do śniadania, to jest oni oboje i goście. Harold rozejrzał się po stole.

— Owsianka — rzekł. — Milko, nasi goście woliliby na śniadanie raczej sos worcesterski niż cokolwiek innego. Ja osobiście zadowolnię się wódką i wodą sodową.

Przyrodnicy roześmieli się wstydliwie.

— Pani mąż jest okropny — rzekł jeden z nich.

— Nie uważałbym, że wywiązałem się należycie z obowiązków gościnności, gdybym panów posłał spać na trzeźwo w pierwszy dzień wizyty — odpowiedział Harold z właściwą sobie godnością.

Milka, uśmiechając się kwaśno, pomyślała z ulgą, że goście upili się tak samo, jak gospodarz. Tego wieczora dosiedziała z nimi do końca, i towarzystwo rozeszło się o normalnej godzinie. Rada była, kiedy wreszcie tamci odjechali. Życie popłynęło dawnym spokojnym trybem. W kilka miesięcy później Harold wyjechał na objazd swego okręgu i powrócił chory na malarję. Po raz pierwszy zapoznała się z chorobą, o której tyle słyszała, a która ogromnie go osłabiła.

Zachowanie męża zaczęło ją teraz dziwić. Przyszedszy z biura wpatrywał się w nią szklanym wzrokiem, to znów stawał na werandzie, kołysząc się lekko w tę i w tamtą stronę, i wygłaszał długie przemówienia na temat politycznej sytuacji Anglii. Pomimo wszystko nie tracił jednak swej naturalnej godności. Czasami, gubiąc wątek dyskursu, spoglądał na nią filuternie, co w zestawieniu z jego zwykłym wyniosłym spokojem, było dość rażące, i mówił:

— Przekięta malarja — wysysa z człowieka wszelką żywotność. Ach, moja mała, nie wiesz, co to znaczy być budowniczym państwa.

Zauważyła, że Simpson stracił humor. Parę razy, gdy była z nim sam na sam, doznała wrażenia, że chce jej coś powiedzieć, ale nie może przemóc oniesmielenia. Wrażenie to tak się wkońcu spotęgowało, że zaczęła się denerwować, i pewnego wieczora, kiedy Harold dla niewiadomej przyczyny pozostał w biurze dłużej niż zazwyczaj, zainterpelowała go zniepacka.

— Co mi pan ma do powiedzenia, panie Simpson?

Wice-rezydent zaczerwienił się i przez chwilę milczał.

— Nic. Co panią naprowadziło na myśl, że mam jej coś do powiedzenia?

Simpson był to chudy, niezgrabny młodzieniec, lat dwudziestu czterech, odznaczający się piękną, bujną, falistą czupryną, której utrzymanie na płasko kosztowało go wiele trudów. Ręce miał nabrzmiałe

i pokryte bliznami od ukąszeń moskitów. Milka hipnotyzowała go wzrokiem.

— Czy pan nie uważa, że lepiej będzie, jeżeli mi pan to powie otwarcie? Naturalnie, jeżeli chodzi o mego męża.

Chłopak spłonął szkarłatem i poruszył się niespokojnie na trzcinowym krześle. Nie ustępowała.

— Obawiam się, że uzna mnie pani za okropnego zuchwalca — rzekł wkońcu. — To świństwo obgadywać swego szefa za jego plecami. Malaria jest okropną rzeczą, i potem człowiek czuje się straszliwie rozklekotany.

Zawahał się ponownie. Kąciki ust opuściły mu się tak, jakby miał ochotę się rozplakać. Milka porównała go w myśli do małego chłopczyka.

— Będę milczała jak grób — rzekła z uśmiechem, starając się ukryć niepokój. — Proszę, niech mi pan powie.

— Niedobrze, że mąż pani ma wódkę w biurze, bo za często pozwala sobie na łyk—dwa...

Młody człowiek mówił ochryplym ze wzburzenia głosem. Milka poczuła nagły chłodny dreszcz. Opanowała się jednak, gdyż bała się spłoszyć nerwowego chłopca. Postanowiła wydobyć z niego wszystko, co mu było wiadome. Ociągał się z dalszemi rewelacjami. Nalegała, prosiła, błagała, przemawiała do jego poczucia obowiązku, wreszcie zalała się łzami. Wtedy powiedział jej w zaufaniu, że Harold pije systematycznie od dwóch tygodni, że krajowcy o tem wiedzą i wróżą, że niezadługo dojdzie do tego samego, co by-

ło przed jego wyjazdem do Europy, skąd powrócił z żoną. W owych czasach pił bardzo dużo, można powiedzieć nałogowo. Milka usiłowała się dowiedzieć bliższych szczegółów, dotyczących się tych dawniejszych czasów, ale Simpson odmówił stanowczo dalszych informacji.

— Więc pan sądzi, że on powrócił do dawnego nałogu?

— Nie wiem.

Milka poczuła nagły przyływ wstydu i gniewu. Fort, tak nazwany z racji przechowywanych tam karabinów i amunicji, był jednocześnie siedzibą sądu i stał nawprost bungalowu rezydenta pośród oddzielnego ogrodu. Słońce właśnie zachodziło, i nie potrzeba było brać kapelusza. Znalazła Harolda w kancelarji, za dużym hallem, w którym sprawował sądy. Na biurku stała butelka wódki. Palił papierosa i przemawiał do kilku Malajczyków, którzy stali przed nim rzędem ze służalczemi i jednocześnie wzgardliwemi uśmiechami na ciemnych twarzach. Twarz Harolda była czerwona i połyskująca.

Krajowcy zniknęli.

— Przyszłam zobaczyć, co się z tobą dzieje — rzekła.

Wstał, gdyż traktował ją zawsze z wyszukaną grzecznością, i zakolysał się na nogach. Czując się chwiejnie, przybrał dla pozorów postawę, pełną wyniosłej godności.

— Proszę cię, usiądź kochanie. Zatrzymał mnie nawał pracy.

Zmierzyła go gniewnym wzrokiem.

— Jesteś pijany — rzekła.

Popatrzył na nią uważnie. Oczy wychodziły mu nieomal nawierzch, a wielka, mięsista twarz promieniała zadowoleniem i powagą.

— Nie rozumiem, co właściwie chcesz powiedzieć — odrzucił.

Miała w gotowości całą litanję rozpaczliwych wykrzykników, ale nie wyładowała ich tak, jak zamierzała, tylko wybuchnęła nagłym płaczem. Osunęła się na krzesło i ukryła twarz w dłoniach. Harold spoglądał na nią przez chwilę, dopóki i po jego policzkach nie pociekły łzy. Podszedł do niej z wyciągniętymi rękami i runął ciężko na kolana. Łkając, przytulił ją do siebie.

— Przebacz mi, przebacz — wyjąkał. — Przyrzekam ci, że to się już więcej nie powtórzy. Wszystkiemu winna ta przekłeta malarja.

— To takie upokarzające — zapłakała.

Szlochał jak dziecko. W samoponizzeniu tego ogromnego, pełnego godności mężczyzny było coś wzruszającego. Milka poszukała wzrokiem jego oczu, w których malował się głęboki żal i błagalna prośba.

— Dasz mi słowo honoru, że nigdy już nie tkniesz żadnego trunku?

— Tak, o, tak. Nienawidzę picia.

Wtedy to powiedziała mu, że zostanie matką. Przyjął tę nowinę z niewymowną radością.

— Tego mi tylko brakowało. Teraz już nie zбочę z prostej drogi.

Powrócili do bungalowu. Harold wykąpał się i przespał. Po obiedzie rozmawiali długo i poważnie. Przyznał jej się, że jako kawaler pijał dużo i często. Na daleko wysuniętych etapach łatwo jest wpaść w taki czy inny nałóg. Zgodził się na wszystko, o co go prosiła.

W ciągu tych kilku miesięcy, jakie upłynęły przed jej przymusowym wyjazdem do Kuala Solor, Harold prowadził się bez zarzutu. Był czułym, troskliwym mężem, traktował ją niezwykle serdecznie i dumny był, że zostanie ojcem. Przyjechała po nią motorówka. Miała się z nim rozstać na przeciąg sześciu tygodni. Przyrzekł jej, że nie da się pokusie i że myśli o niej będzie mu podporą. Położył ręce na jej ramionach.

— Nigdy nie łamię przyrzeczenia — oznajmił ze zwykłą sobie godnością. — Ale i bez tego nie obrażasz sobie chyba, że podczas gdy ty będziesz cierpieła, ja będę się starał o przysporzenie ci kłopotów.

Przyszła na świat Joasia. Milka bawiła w domu rezydenta Gray'a, którego żona, kobieta w średnim wieku, traktowała ją z wielką dobrocią. Miały obie dużo wolnego czasu i były przeważnie same, to też rozmawiały ze sobą długo i często. Milka dowiedziała się wszystkiego o pijackiej przeszłości męża. Najtrudniej przyszło jej pogodzić się z faktem, że Haroldowi pozwolono zostać na zajmowanym dotychczas stanowisku tylko pod tym warunkiem, że się ożeni. Poczuła w sercu głuchą urazę. A kiedy jeszcze po-

informowano ją, że Harold był nałogowym pijakiem, ogarnął ją nieokreślony niepokój i wielka trwoga, iż w czasie jej nieobecności nie oprze się straszliwej pokusie. Powróciła do domu z dzieckiem i piastunką. Przenocowała u ujścia rzeki i wyprawiła czółnem posłańca z wiadomością, że jest w drodze. Zbliżając się do przystani, wypatrywała trwożnie, czy na nią czeka. Na pomoście stał Harold z Simpsonem w asyście żołnierzy. Serce w niej zamarło, bo Harold zataczał się lekko, jak człowiek, który stara się utrzymać równowagę na kołyszącym się okręcie.

Pijany!

Nie był to miły powrót! Wdowa zapomniała nieomal o rodzicach i siostrze, którzy przysłuchiwali się w milczeniu jej opowiadaniu. Teraz otrząsnęła się z oszołomienia i uświadomiła sobie ich obecność. Wszystko to, o czem mówiła, wydawało się jej mgliste i dalekie.

— Wtedy poczułam, że go nienawidzę i że mogłabym go zabić.

— Och, Milko, nie mów tak! — krzyknęła matka. — Nie zapominaj, że biedak nie żyje.

Milka popatrzyła na matkę z groźnym grymasem na apatycznej twarzy. Pan Skinner poruszył się niespokojnie.

— Mów dalej — rzekła Katinka.

— Kiedy się dowiedział, że wiem o nim wszystko, przestał się zupełnie krępować i w trzy miesiące później dostał ataku delirium tremens.

— Dlaczegoś go nie opuściła? — zapytała Katinka.

— I nacoby się to zdało. Jego wyrzuciliby ze służby w przeciągu dwóch tygodni, a ze mną i Joasią coby się stało? Któżby nas utrzymywał? Musiałam zostać. W okresach jego trzeźwości nie miałam się na co skarżyć. Nie kochał się we mnie ani trochę, ale mnie lubił. Ja wyszłam za niego nie z miłości, tylko dlatego, że chciałam wyjść zamąż. Czyniłam wszystko, co było w mojej mocy, aby go odwieść od picia. Z pomocą pana Gray'a nie dopuszczałam do przywozu wódki z Kuala Solor, ale on dostawał ją od Chińczyków. Śledziłam go tak, jak kot mysz, cóż, kiedy był przebieglejszy ode mnie. W niedługim czasie rozpił się zpowrotem. Zaczął zaniedbywać obowiązki. Obawiałam się, że pójdzie na niego skarga. Mieszkaliśmy w odległości dwóch dni drogi od Kuala Solor, i to nas niejako zabezpieczało, ale przypuszczam, że coś się musiało donieść, bo pan Gray napisał do mnie prywatnie z ostrzeżeniem. Pokazałam jego list Haroldowi. Klął, rzucał się i odgrażał. Zauważyłam jednak, że padła na niego trwoga. Dwa czy trzy miesiące wytrwał w abstynencji i potem zaczął na nowo. Trwało to do terminu urlopu.

Przed przyjazdem tutaj zaklęłam go na wszystkie świętości, żeby na siebie uważał. Nie chciałam zdradzić się przed wami ze swoim nieszczęściem. Przez cały czas pobytu w Anglii zachowywał się, jak należy. Wyjeżdżając w powrotną drogę, ostrzegłam go ponownie. Przywiązał się ogromnie do Joasi, był

z niej bardzo dumny, i ona też go lubiła. Wolała go ode mnie. Zapytałam go, czy chce, aby się jego dziecko dowiedziało, że ma ojca pijaka. Przeraził się okropnie. Znalazłam na niego sposób. Powiedziałam mu, że do tego nie dopuszczę i jeżeli Joasia zobaczy go kiedy pijanego, zabiorę ją i wyjadę. Wiecie, że na te słowa zbladł jak ściana. Tego wieczoru upadłam na kolana i podziękowałam Bogu, że wskazał mi drogę ratunku.

Powiedział mi, że jeżeli mu przyjdę z pomocą, zrobi nową próbę. Postanowiliśmy walczyć wspólnymi siłami. I rzeczywiście zmagali się ze sobą, jak mógł. Kiedy czuł, że musi wypić, przychodził do mnie. Wiecie, że był trochę pompatyczny. Wobec mnie był pokorny i cichy jak dziecko. Byłam jego podporą. Może nie kochał mnie, kiedy się ze mną żenił. Wtedy jednak pokochał nas obie — mnie i Joasię. Przedtem nienawidziłam go z powodu doznawanych upokorzeń. Będąc pijanym, próbował zawsze odnosić się do ludzi z wielką, wyniosłą godnością, co czyniło go odpychającym. Potem w okresie walki narodziło się w mojem sercu dziwne uczucie. Nie miłość, ale jakaś dziwna, nieśmiała czułość. Stał się dla mnie czemś więcej niż mężem, bo prawie dzieckiem. Miałam wrażenie, jakgdybym i jego nosiła kiedyś pod sercem przez długie, nużące miesiące. Był ze mnie dumny i, wiecie, ja też byłam dumna. Przeszły mnie irytować jego długie przemówienia, jak również wyniosły sposób bycia. Ta ostatnia cecha bawiła mnie odtąd i nawet czarowała. Wkońcu od-

niesliśmy zwycięstwo. Przez dwa lata nie wziął do ust ani kropelki, i pokusa picia opuściła go najzupełniej. Zartował nawet ze swego dawnego nałogu.

Wtedy to pan Simpson został odwołany, a na jego miejsce przyszedł drugi młody człowiek, nazwiskiem Francis.

— Trzeba panu wiedzieć, że jestem nawróconym pijakiem — powiedział raz do niego Harold. — Gdyby nie moja żona, jużbym dawno dostał dymisję. Nie ma na świecie drugiej takiej żony, jak moja, Francis.

Nie wyobrażacie sobie, co się ze mną działo, gdy to usłyszałam. Pomyślałam sobie, że warto było cierpieć dla takiej nagrody. Taka byłam szczęśliwa, taka szczęśliwa...

Zapadło milczenie.

Wdowa oglądała oczyma duszy szeroką, żółtą, mętną rzekę, nad której brzegami przeżyła lata małżeńskiej egzystencji. Nisko nad wodą leciało chyżo rozproszone stado czapli, białe i migotliwe w rozdrganych promieniach zachodzącego słońca. Piękne ptaki podobne były do kaskady śnieżnych tonów, słodkich, czystych i wiośnianych, wygrywanych arpeggio niewidzialną ręką na niewidzialnej boskiej harfie. Trzepotały się wzdłuż zielonych wybrzeży, owianych pomroką wieczoru, niby radosne myśli zadowolonego umysłu.

Wznowiła opowiadanie.

— Nagle zachorowała Joasia. Przez trzy tygodnie było z nią źle. Najbliższy doktor mieszkał w Kuala Solor, wobec czego musieliśmy poprzestać na

miejscowej amatorskiej opiece. Kiedy przyszła do siebie, wywiozłam ją do wioski koło ujścia rzeki, aby odetchnęła morskiem powietrzem. Zabawiłyśmy tam tydzień. Od przyjscia na świat Joasi było to moje pierwsze rozstanie z Haroldem. Zamieszkałyśmy w chatce w sąsiedztwie rybackiej wioski na palach. Nie towarzyszył nam nikt. Myślałam dużo o Haroldzie, bardzo serdecznie, bardzo czule i nagle uświadomiłam sobie, że go kocham. Ucieszyłam się bardzo, kiedy przyszła po nas prahu, bo chciałam mu to jak najprędzej powiedzieć. Przypuszczałam, że go to uszczęśliwi. I nie mogę wam wypowiedzieć, jaka ja sama byłam szczęśliwa. Kiedy dopływaliśmy do przystani, wioslarz powiedział mi, że pan Francis był zmuszony udać się w głąb kraju celem aresztowania kobiety, która zamordowała swego męża, i że nie było go już od kilku dni.

Zdziwiłam się, że Harold nie wyszedł na pomost, aby nas powitać. Zawsze był bardzo skrupulatny pod tym względem i twierdził, że mąż i żona powinni się nawzajem traktować tak samo grzecznie, jak traktują znajomych. Nie mogłam sobie wyobrazić, co by mu mogło stanąć na przeszkodzie. Weszłam na wzgórze, na którym stał bungalow. Ayah niosła za mną Joasię. W bungalowu panowała dziwna cisza. Nie widać było nikogo ze służby. Zadałam sobie pytanie, czy Harold, nie spodziewając się tak prędko naszego powrotu, nie wyprawił się gdzieś w okolicę. Weszłam po schodach. Joasia miała pragnienie, i ayah zabrała ją do pokoi służbowych, aby dać jej coś do picia.

W salonie Harolda nie było. Zawołałam. Żadnej odpowiedzi. Doznałam zawodu, bo pragnęłam go zastać w domu. Weszłam do sypialni. Nie, nie wyszedł. Leżał na łóżku, pogrążony we śnie. Ubawiło mnie to, bo zawsze udawał, że nigdy po południu nie sypia. Uważał to za niepotrzebne przyzwyczajenie białych ludzi. Zbliżyłam się ostrożnie do łóżka z zamiarem splątania mu figła i rozsunęłam firanki na mo skity. Leżał nawznak, ubrany tylko w sarong, a obok niego leżała pusta butelka od wódki. Był pijany, pijany, pijany... Zaczęło się zpowrotem. Wszystkie moje wysiłki poszły na marne. Marzenia rozwiały się jak dym. Sytuacja była beznadziejna. Porwała mnie straszna wściekłość.

Twarz wdowy spłynęła ponownie ciemną purpurą, i ręce jej zacisnęły się kurczowo na poręczy fotelu.

— Porwałam go za ramiona i zaczęłam trząść z całej siły. „Zwierzę — krzyczałam — podle zwierzę!” Byłam tak wzburzona, że nie wiedziałam, co robię, nie wiedziałam, co mówię. Trzęsłam nim i trzęsłam. Nie wyobrażacie sobie, jak on wtedy wstrętnie wyglądał — ogromny, tłusty, napół nagi. Nie golił się już od kilku dni i twarz miał purpurową i nabrzmiałą. Oddychał ciężko, z trudem... Krzyknęłam na niego, ale nie usłyszał. Spróbowałam ściągnąć go z łóżka, ale siły mi nie dopisały, taki był ciężki. Leżał jak kłoda drzewa „Otwórz oczy!” — wrzasnęłam. I znów nim potrząsnęłam. Nienawidziłam go w owej chwili. Nienawidziłam tem więcej, że, przez

tydzień kochałam go z całego serca. Zdradził moje zaufanie, moją wiarę... Chciałam mu powiedzieć, że uważam go za brudne zwierzę. Był głuchy i ślepy na moją obecność. „Masz otworzyć oczy!” — krzyczałam. Postanowiłam zmusić go do tego, żeby na mnie spojrzął.

Wdowa zwilżyła suche wargi. Oddech jej uległ przyspieszeniu. Przez chwilę milczała.

— W tym stanie najlepiej go było zostawić samego, dopóki się nie obudził — zauważyła Katinka.

— Na ścianie koło łóżka wisiał parang. Wiecie, jak Harold lubił osobliwości.

— Co to jest parang? — zapytała pani Skinner.

— Nie bądź nieśmądra, mamusiu — odpowiedział z irytacją mąż. — Wisi przecież nad twoją głową.

Wskazał na malajski miecz, który nieświadomie obserwował z niewiadomego powodu. Pani Skinner cofnęła się szybko w róg sofy nerwowo trwożnym ruchem, tak, jakby jej powiedziano, że obok leży zwinięty w kłębek wąż.

— Nagle z gardła Harolda trysnęła krew z wielkiej czerwonej poprzecznej rany.

— Milko! — krzyknęła Katinka, porywając się ku siostrze. — Co ty chcesz przez to powiedzieć na miłość boską?

Pani Skinner wstała z wysadzonemi nawierzch oczami i z otwartemi ustami.

— Parang znikł ze ściany i spadł na łóżko. Wte-

dy Harold otworzył oczy. Joasia ma zupełnie takie same oczy.

— Nie rozumiem — rzekł pan Skinner. — Jakim sposobem on mógł popełnić samobójstwo, znajdując się w takim stanie, jak opisałaś?

Katinka ujęła siostrę za ramię i potrząsnęła nią gniewnie.

— Milko, wytłumacz się na miłość boską!

Wdowa strząsnęła jej rękę.

— Powiedziałam ci, że parang wisiał na ścianie. Nie wiem, co się stało. Bluznęła krew, i Harold otworzył oczy. Skonał prawie momentalnie. Nie powiedział ani słowa, tylko zacharczał.

Pan Skinner zdobył się wreszcie na głos.

— Ależ, nędzna kobieto, przecież to było morderstwo!

Milka, której twarz upstrzyła się czerwonymi plamkami, rzuciła mu spojrzenie, pełne takiej wzdargy i nienawiści, że się cofnął parę kroków wtył. Pani Skinner wydała przeraźliwy okrzyk:

— Milko, to nieprawda, tyś tego nie zrobiła!

Na te słowa wdowa powiedziała coś, co zmroziło krew w żyłach wszystkim obecnym. Zachichotała i rzekła:

— Jak nie ja, to kto?

— Wielki Boże! — mruknął pan Skinner.

Katinka stała wyprostowana jak żołnierz, z rękami, przyciśniętymi do serca, które biło tak, jakby miało za chwilę pęknąć.

— A potem co się stało? — zapytała.

— Narobiłam krzyku. Podeszłam do okna i otworzyłam je naroścież. Zawołałam na ayath. Przybiegła z głębi mieszkania, ciągnąc za sobą Joasię. „Niech dziecko tu nie wchodzi” — krzyknęłam. Ona zawołała wtedy na kucharza i kazała mu zabrać Joasię. Krzyknęłam, żeby szła jak najprędzej, a gdy wpadła do sypialni, pokazałam jej Harolda. „Tuan zabił się!” — wrzasnęłam. Ona na to narobiła wycia i wybiegła z domu.

Zaden z krajowców nie chciał wejść do pokoju. Wszyscy potracili głowy. Napisałam list do pana Francisa z wiadomością, co się stało, i z prośbą, żeby natychmiast przybywał.

— Jak mu to przedstawiłaś?

— Napisałam, że po powrocie z nad morza znalazłam Harolda nieżywego z przeciętem gardłem. Wiecie, że pod zwrotnikami trzeba grzebać umarłych bardzo prędko, prawie odrazu po śmierci. Postarałam się o chińską trumnę, i żołnierze wykopali grób za fortem. Kiedy Francis powrócił, Harold już od dwóch dni spoczywał w ziemi. Był to młody chłopak, i łatwo mi było wmówić w niego, co mi się podobało. Opowiedziałam mu, że znalazłam parang w rękach Harolda. Zaznaczyłam, że nie mam żadnych wątpliwości co do tego, że popełnił samobójstwo w przystępie delirium tremens. Pokazałam pustą butelkę. Służba zeznała, że przez cały czas mojej nieobecności pił naumor. To samo powtórzyłam w Kuala Solor. Wszyscy byli dla mnie bardzo dobrzy, i rząd wyznaczył mi pensję.

Przez chwilę panowało milczenie. Wkońcu pan Skinner opanował się i rzekł:

— Jestem przedstawicielem prawa. Jestem adwokatem. Mam pewne obowiązki względem społeczeństwa. Zawsze miałem opinię bardzo szanownej firmy. Postawiłaś mnie w okropnem położeniu.

Jąkał się, szukając odpowiednich frazesów, które grały w chowanego z jego oszołomionym mózgiem. Milka spojrzała nań pogardliwym wzrokiem.

— Co ojciec zamierza z tym fantem zrobić?

— Popełniłaś morderstwo, tak? Czy sądzisz, że powinienem to pokryć milczeniem?

— Niech ojciec nie mówi niedorzeczności — wtrąciła ostro Katinka. — Nie może ojciec wydać sądom swojej własnej córki.

— Postawiłaś mnie w okropnem położeniu — powtórzył pan Skinner.

Wdowa wzruszyła znów ramionami.

— Doprowadziliście mnie do tego, że wam wszystko wyjawiałam. Dostyc długo znosiłam tę tajemnicę sama. Czas był, żeby i wam się dostała część mojego ciężaru.

W tej chwili drzwi otworzyły się, i weszła służąca.

— Davis zjechał, proszę pana — oznajmiła.

Katinka zdobyła się na tyle przytomności umysłu, że jej odpowiedziała coś, i dziewczyna wyszła.

— Czas jechać — rzekła Milka.

— Nie pojedę, nie mogę! — krzyknęła pani Skinner z akcentem trwogi w głosie. — Jestem wytrąco-

na z równowagi. Jakbyśmy mogli spojrzeć w twarz Heywoodom? I biskup będzie chciał, żeby ci go przedstawić.

Milka poruszyła obojętnie ręką. Oczy jej miały ten sam ironiczny wyraz, co poprzednio.

— Musimy jechać, mamó — zaopiniowała Katinka. — Śmiesznieby wyglądało, gdybyśmy się wymówili.

Zwróciła się z furją do siostry.

— Cóż za potworna awantura!

Pani Skinner popatrzyła bezradnie na męża, który podszedł do niej i pomógł jej wstać z sofy.

— Obawiam się, mamusiu, że jednak będziemy musieli jechać — rzekł.

— I ja z tą egretą, którą dostałam od Harolda — jęknęła starsza kobieta.

Wyprowadził ją z pokoju. Katinka wysunęła się za nimi. Na końcu w odległości paru kroków za tamtymi szła Milka.

— Przyzwyczajcie się do tego — powiedziała spokojnie. — I ja początkowo myślałam o tem dniami i nocami, a teraz już się uspokoiliam, i coraz częściej przychodzi na mnie zapomnienie. Nie grozi mi żadne niebezpieczeństwo.

Nikt nie odpowiedział. Przeszli przez hall i znaleźli się przed frontowymi drzwiami. Trzy kobiety zajęły tylne siedzenie w samochodzie, pan Skinner zaś usadowił się obok szofera. Auto było starego typu bez startera, i Davis musiał kręcić korbą.

Stary adwokat odwrócił się i spojrzał ze złością na starszą córkę.

— Nie powinnaś mi była tego mówić — rzekł.— Okazałaś się krańcową egoistką.

Davis zajął miejsce, i samochód ruszył z przed ganku.

Na okręcie

Pani Hamlyn obserwowała leniwie z leżaka pasażerów, przechodzących przez pomost. Okręt przybił w nocy do Singapore, i ładowanie odbywało się od świtu. Windy zgrzytały przez cały dzień, i zdążyła się już przyzwyczać do okropnego harmidru.

Lunch zjadła w „Europie”, poczem z braku lepszej rozrywki kazała się obwieźć riksą po wesołych, gwarnych ulicach miasta. Singapore jest punktem zbornym wielu ras. Malajczycy, jakkolwiek dzieci tej ziemi, trzymają się zdala od miast i są tu bardzo nieliczni. Ulice roją się zato od wysmukłych, zwinnych i pracowitych Chińczyków; od ciemnoskórych Tamilów, milczących i bosonogich, zachowujących się jak przelotni goście w obcym kraju; od zamożnych, układnych, pewnych siebie, swobodnych Bengalczyków; od chytrych, ugrzecznionych Japończyków, którzy zawsze robią wrażenie, jakby ich absorbowały nagłace i tajemnicze sprawy, wreszcie od Anglików. Ci ostatni, niedbali i wyniosli, w korkowych hełmach i białych płóciennych garniturach, przemykają samochodami lub, o ile im czas pozwala, riksami. Władcy tego mieszanego mrowia obnoszą swój autorytet z

uśmiechniętą obojętnością. Pani Hamlyn, zmęczona i zgrzana, czekała na wyruszenie okrętu w długą podróż przez Ocean Indyjski.

Na pokład wyszedł doktor i pani Linsell. Powitała ich gestem dużej ręki, gdyż była kobietą majestatycznych rozmiarów. Bawiła na okręcie od chwili wyjazdu z Yokohamy i śledziła z humorystycznym-kwaśnym zainteresowaniem zażyłość, jaka się wytworzyła między tą parą. Linsell był oficerem marynarki, odkomenderowany do ambasady Brytyjskiej w Tokio. Dziwiło ją, że patrzy tak obojętnie na zaloty doktora do swej młodej żony.

Na pomoście ukazali się dwaj mężczyźni, nowi pasażerowie. Pani Hamlyn zadała sobie dla rozrywki trud wywnioskowania z ich sposobu zachowania się, czy są wolni, czy żonaci. Obok na trzciniowych krzesłach siedziała grupa dżentelmanów. Sądząc z ubrań koloru khaki i szerokoskrzydłych filcowych kapeluszy, musieli to być plantatorzy. Steward nie mógł nadążyć z wykonywaniem ich rozkazów. Rozmawiali bardzo głośno i co chwila wybuchali śmiechem. Ich trochę niemądra, hałaśliwa wesołość miała swe źródło w fakcie, że za dużo wypili. Najwidoczniej odbywało się pożegnanie jednego z paczki. Pani Hamlyn nie mogła zgadnąć, który z nich miał być jej towarzyszem podróży. Zbliżała się chwila odjazdu. Przybywało coraz więcej pasażerów. Wreszcie na pomoście ukazał się pełen godności pan Jephson. Był on konsulem i jechał na urlop. Wsiadł na okręt w Szanghaju i stał się z miejsca wielbicielem pani Ham-

n. Ona jednak nie miała ochoty na żadne flirty. Posegnęła, myśląc o przyczynie swego nagłego powrotu do Anglii. Tak, Boże Narodzenie spędzi na morzu, samotna, zdala od przyjaznych serc. Ogarnęła ją depresja. Zła była na siebie, że nie może odegnać myśli, które narzucały jej się nieodparcie pomimo uporczywych prób zapomnienia.

Rozległ się ostrzegawczy dźwięk dzwonka, i wśród siedzących obok mężczyzn zrobiło się ogólne poruszenie.

— Wynośmy się już, jeżeli nie chcemy odbić od lądu — rzekł jeden z nich.

Wstali i ruszyli w kierunku pomostu. Teraz dopiero, gdy podawali sobie ręce, zorientowała się, którzy z nich odjeżdża, a którzy zostają. W człowieku, na którego patrzyła, nie było nic interesującego. Przyglądała mu się uważnie tylko dlatego, że nie miała nic lepszego do roboty. Był to ogromny mężczyzna, więcej niż sześć stóp wysoki, tęgi i szeroki w ramionach. Ubranie jego składało się z zaszarganego płóciennego garnituru koloru khaki i zniszczonego starego kapelusza. Przyjaciele, którzy go właśnie opuścili, nawoływali żartobliwie z bulwaru, on zaś odpowiadał im głośno i serdecznie z silnym akcentem irlandzkim.

Pani Linsell zeszała nadół, a doktor przyszedł i usiadł obok pani Hamlyn. Dzwonek zadzwieczał ponownie, i niebawem okręt wypłynął z portu. Irlandczyk przesłał ostatnie pożegnanie towarzyszom, po-

czem powrócił do krzesła, na którym pozostawił gazety, i kiwnął głową doktorowi.

— Zna go pan? — zapytała pani Hamlyn.

— Przedstawiono nas sobie w klubie przed tiffinem. Nazywa się Gallagher. Plantator.

Po wrzawie portowej i zamęcie odjazdu cisza, panująca na morzu, podziałała na nich kojąco. Okręt minął powoli zielone, skaliste wybrzeże i wpłynął do głównego portu, gdzie stało na kotwicy mnóstwo okrętów wszelkich narodowości, statków pasażerskich, holowniczych, handlowych i innych. Za groblą widniał gęsty las masztów krajowych dżonek. W miękkiem świetle wieczoru cała ta ruchliwa scena wydawała się dziwnie tajemnicza. Miało się wrażenie, że różnorodna flotylla czeka w zawieszeniu na jakieś nadzwyczajne wydarzenia.

Pani Hamlyn cierpiała na bezsenność, to też świt zastawał ją zawsze na pokładzie. Jej smutne serce radowało się widokiem ostatnich gwiazd, pierzchających przed pierwszemi promieniami słońca. O tej wczesnej godzinie szkliste morze czarowało często nieruchomością i spokojem, wobec których wszystkie ziemskie troski wydawały się drobne i nikłe. Panował półmrok i powietrzem przebiegało lekkie drżenie.

Ale na drugi dzień rano, doszedłszy do końca pokładu, przekonała się, że ktoś wstał jeszcze wcześniej niż ona. Był to pan Gallagher. Obserwował niskie brzegi Sumatry, które wschodzące słońce wywoływało magiczną sztuką z łona ciemnego morza.

Zdziwiła się i zniecierpliwiła, ale nim zdążyła się cofnąć, on zobaczył ją i kiwnął głową.

— Wcześniej pani wstała — rzekł. — Może pani pozwoli papierosa?

Był w piżamie i w rannych pantoflach. Wyjął z kieszeni papierośnicę. Pani Hamlyn zawahała się. Miała na sobie tylko szlafrok i mały koronkowy czepeczek, z pod którego wymykały się zwichrzone włosy, i wiedziała, że musi wyglądać okropnie. Miała jednak powody do zadawania sobie umartwień.

— Sądzę, że kobieta czterdziestoletnia nie powinna liczyć się ze swoim wyglądem — zauważyła z uśmiechem, tak, jakby on przeczuwał jej próżne myśli. Wzięła ofiarowanego sobie papierosa. — Ale i z pana także ranny ptaszek.

— Jestem plantatorem. Przez tyle lat wstawiałem zawsze o piątej, że nie wiem, jak się pozbędę tego przyzwyczajenia.

— W domu nie będą z tego radzi.

Przyjrzała się teraz lepiej jego twarzy, nieocienionej przez kapelusz. Był sympatyczny, ale bynajmniej nie przystojny. Jako młody człowiek musiał mieć wcale niezłe rysy, które z wiekiem rozlały się i pogrubiliły wskutek otyłości. Czerwona skóra wydawała się lekko nabrzmiała. Zato zdobiły go wesołe czarne oczy i gęsta, czarna czupryna, w której pomimo najmniej czterdziestu pięciu lat wieku nie przeświecała ani jedna srebrna nitka. Robił wrażenie siłacza. Poza tem był to osobnik ciężki, niezgrabny i pospolity, i gdyby nie przymusowe zetknięcie

w podróży, pani Hamlyn nigdyby sobie nie zadała fatygi nawiązywania z nim rozmowy.

— Jedzie pan na urlop? — zapytała na chybił trafił.

— Nie. Wracam do kraju na dobre.

Czarne oczy zamigotały radośnie. Właściciel ich był rozlewny i skłonny do zwierzeń, to też nim przyszedł czas na kąpiel, pani Hamlyn dowiedziała się o nim wielu rzeczy. Przepędził dwadzieścia pięć lat na archipelagu Malajskim, a przez ostatnie dziesięć—zarządzał majątkiem w Selantanie, leżącym w odległości stu mil od wszelkiej cywilizacji. Był bardzo samotny, ale zrobił pieniądze. W okresie zwyżki na gumę przeprowadził dobrą kombinację i z niespodziewaną w tak dobrodusznym człowieku przebiegłością ulokował swoje zdobycze w papierach państwowych. Teraz, gdy przyszła zniżka, wycofał się z interesu.

— Skąd pan pochodzi, z jakiej części Irlandji? — zapytała pani Hamlyn.

— Z Galway.

Pani Hamlyn jechała raz samochodem przez Irlandję, z której to wycieczki pozostało jej niewyraźne wspomnienie smutnego i ponurego miasta z wielkimi kamiennymi śpichlerzami w ruinie, uszeregowanymi nad melancholijnym morzem. Pozostało jej również ogólne wrażenie zieloności, deszczu, ciszy i rezygnacji. Czy tam pan Gallagher zamierza spędzić resztę życia? Mówił o tem z chłopięcym entuzjazmem. Kontrast jego żywotności z tym szarym świa-

tem cieniów był tak rażący, że panią Hamlyn ogarnęło zaciekawienie.

— Czy tam mieszka pana rodzina? — zapytała.

— Nie mam rodziny. Rodzice nie żyją, a poza tem, o ile wiem, nie pozostali mi żadni krewni.

Obmyślił sobie cały plan, obmyślił go przez dwadzieścia pięć lat życia i rad był, że może z kimś pomówić o tych wszystkich rzeczach, o których mówił dotąd tylko ze swoją duszą. Zamierzał kupić dom i samochód. Zamierzał hodować konie. Polowanie nie miało dla niego uroku. W czasie pierwszych lat pobytu na archipelagu Malajskim zabił moc grubego zwierza, ale obecnie łowieckie zapasy wywietrzały mu z głowy. Nie rozumiał, poco mordować mieszkańców dżungli. Sam żył długo w dżungli. Jednakże umie polować.

— Czy pani uważa, że jestem za tęgi? — zapytał.

Pani Hamlyn uśmiechnęła się i zmierzyła go oczami.

— Waży pan tonnę — rzekła.

Roześmiał się. Irlandzkie konie są najlepsze na całym świecie. Będzie się starał używać dużo ruchu. Na plantacji gumy ciągle był w ruchu i grał dużo w tenisa. W Irlandji prędko zeszczupleje. Wtedy się ożeni. Pani Hamlyn spojrzała w milczeniu na morze, rozjaśnione pierwszym brzaskiem poranka i westchnęła.

— Czy łatwo panu przyszło zerwać z tamtem środowiskiem? Czy nie żal panu nikogo, kto tam po-

został? Sądząc, że po tylu latach pobytu na Wschodzie, chwila rozstania musiała być bardzo bolesna pomimo całej tęsknoty za ojczyzną?

— Rad byłem, że się nareszcie wyrwałem. Nasyciłem się zwrotnikami i nie pragnę ich więcej oglądać, ani nikogo, kto tam pozostał.

Na pokładzie zjawilo się paru pasażerów, i pani Hamlyn, uświadomiwszy sobie stan swojej toalety, zeszła nadół.

Przez parę następnych dni pan Gallagher nie pokazywał się prawie, przesiadując w palarni.

Skutkiem strajku okręt nie zawinął do Colombo, i pasażerowie oddali się na dobre miłemu nastrojowi podróży przez Ocean Indyjski. Grali w pokładowe gry, plotkowali i flirtowali. Zbliżające się Boże Narodzenie dostarczyło im rozrywki, gdyż ktoś zaproponował, aby w dzień święta urządzić bal kostjumowy, wobec czego panie zabrały się do przygotowywania toalet. Pasażerowie pierwszej klasy zebrali się na naradę, czy zaprosić drugą klasę, czy nie, i pomimo upału dyskusja była niezwykle ożywiona. Pannie zaopiniowały, że druga klasa będzie się czuła skrępowana, a nadto w dzień Bożego Narodzenia demokratyczne towarzystwo wypije prawdopodobnie więcej, niż potrzeba, i mogą z tego wyniknąć nieprzyjemności. Każdy z zabierających głos zastrzegał się, że nie ma na myśli różnic klasowych i że nie jest na tyle snobem, aby uznawać, że pierwsza i druga klasa to dwie różne kategorie ludzi, ale że będzie o wiele pocziwiej wobec pasażerów drugiej klasy nie sta-

wiać ich w fałszywym położeniu. Z drugiej strony nie powinno się ranić ich uczuć i naturalnie w dzisiejszych czasach trzeba być trochę demokratą. To ostatnie zdanie wygłoszono w odpowiedzi na protest żony misjonarza z Chin, która oznajmiła, że od trzydziestu pięciu lat podróżuje okrętami i nigdy nie slyszała, aby pasażerów drugiej klasy zapraszano na tańce do salonu pierwszej klasy. Konsul zapytał o zdanie pana Gallaghera, którego w przewidywaniu bliskiego głosowania odciągnięto od karcianego stolika. Plantator wiózł ze sobą dawnego pracownika z plantacji, pasażera drugiej klasy. Gdy go zainterpelowano, dźwignął z siedzenia swą ciężką postać i rzekł:

— Jeżeli o mnie idzie, to powiem państwu tylko tyle. Mam ze sobą człowieka, który doglądał naszych maszyn razem ze mną. Porządny chłop i tak samo nadający się do waszego towarzystwa, jak i ja. Ale nie będzie mógł przyjść na zabawę, bo go tak spoję w święto Bożego Narodzenia, że o szóstej będzie się kwalifikował co najwyżej do łóżka.

Pan Jephson uśmiechnął się kwaśno. Z racji urzędowego tytułu wybrano go przewodniczącym zebrania i życzył sobie, aby sprawę traktowano poważnie. Miał zwyczaj mówić, że jeżeli się coś robi, to się powinno robić, jak należy.

— Pańska uwaga daje mi do myślenia — rzekł oschłym tonem — że poruszona przez nas trudność nie wydaje się panu godna uwagi.

— Uważam, że cały ten nonsens nie wart jest

funta kłaków — odrzucił pan Gallagher, przymrużając jedno oko.

Pani Hamlyn wybuchnęła śmiechem. Stało na tem, że pasażerowie drugiej klasy zostaną zaproszeni, lecz jednocześnie wystosuje się do kapitana prywatną prośbę, aby odmówił swej zgody na wpuszczenie demokratycznych gości do salonu pierwszej klasy. Wieczorem tego samego dnia pani Hamlyn, ubrawszy się do obiadu, wyszła na pokład i spotkała tam pana Gallaghera.

— W sam czas na coctail, pani Hamlyn — rzekł jowialnie.

— Z przyjemnością wypiję. Prawdę mówiąc, potrzeba mi jakiejś podniety.

— Dlaczego? — zapytał z uśmiechem.

Pani Hamlyn podobał się jego uśmiech, ale na pytanie wołała nie odpowiadać.

— Powiedziałam panu kiedyś — odrzuciła wesoło — że mam czterdzieści lat.

— Nigdy nie spotkałem kobiety, tak uporczywie podkreślającej swój wiek.

Weszli w cień, i Irlandczyk zamówił dla niej wino, a dla siebie dżin. Za długo przebywał na Wschodzie, aby pijać coś innego.

— Ma pan czkawkę — zauważyła pani Hamlyn.

— Tak, dokuczają mi całe popołudnie — odrzekł niedbale. — Ciekawe, dostałem jej, jak tylko ląd znikł nam z oczu.

— Pewnie po obiedzie przejdzie.

Wypili zamówione napoje i na dźwięk drugiego dzwonka weszli do jadalni.

— Nie gra pani w bridża? — zapytał przy rozstaniu.

— Nie.

* * *

Nie zauważyła, że od trzech dni plantator przestał się pokazywać. Pochłaniały ją własne myśli. Oblegały ją, gdy zajęta była szyciem, i przesłaniały karty powieści, z której pomocą usiłowała je odgonić. Spodziewała się, że w miarę, jak okręt będzie ją unosił dalej i dalej od widowni przeżytego nieszczęścia, wewnętrzna udręka ukoi się i uciszy, ale stało się inaczej, i zmniejszająca się z każdym dniem odległość, dzieląca ją od Anglii, napełniała ją coraz to większym smutkiem. Myślała z przerażeniem o mrocznej pustce życia, jakie ją czekało w ojczyźnie. To znów, odpędzając smętne przecucia, wracała wspomnieniem po raz niewiadomo który do powikłań życiowych, od których właśnie uciekała.

Wyszła zamaż przed dwudziestu laty. Naturalnie był to szmat czasu i nie mogła się łudzić, że mąż jest w niej zakochany tak samo, jak na początku, lecz łączyła ich wielka przyjaźń, i rozumieli się jak rzadko które małżeństwo. Naogół byli wyjątkowo dobrani i zżyci. I nagle pewnego pięknego dnia odkryła, że się zakochał. Nie miała nic przeciwko flirtowi. Nieraz już flirtował. Żartowała z niego wesoło, jemu zaś to pochlebiało. Oboje śmieli się ze skłonności,

które nie były ani głębokie ani poważne. Tym razem sprawa przyjęła inny obrót. Zakochał się płomiennie niczem osiemnastoletni chłopak. Człowiek pięćdziesięciodwuletni! Śmieszne i nieprzyzwoite! Miłość pozbawiła go rozsądku. Nie krył się ze swemi uczuciami, i nim obrzydliwy fakt obił się o jej uszy, wiedzieli już o tem wszyscy cudzoziemcy w Yokohamie. Po pierwszym wstrząśnieniu zdumienia i gniewu, bo był on ostatnim człowiekiem, po którym można się było spodziewać takiego szaleństwa, próbowała wmówić w siebie, że mogłaby go zrozumieć, a co za tem idzie, przebaczyć, gdyby się zakochał w młodej dziewczynie. Mężczyźni w średnim wieku często tracą głowy dla podlotków, a po dwudziestu latach pobytu na Dalekim Wschodzie, pani Hamlyn przekonała się, jak niebezpiecznym wiekiem jest dla nich pięćdziesiątka. On nie miał i tego usprawiedliwienia. Zakochał się w kobiecie o osiem lat starszej od niej — żony. Sytuacja była groteskowa i stawiała ją w dziwnem świetle. Dorota Lacom dobiegała pięćdziesiątki. Znał ją od lat osiemnastu, gdyż Lacom, tak, jak jej mąż, był kupcem jedwabiu w Yokohamie. Przez cały szereg lat widywali się trzy — cztery razy na tydzień i raz w czasie wspólnego pobytu obu par w Anglii mieszkali nad morzem w jednym domu. I nic, wszystko było dobrze! Niedalej jak przed rokiem byli jeszcze ze sobą na stopie żartobliwej przyjaźni. Nie do uwierzenia! Prawda, że Dorota jest przystojną. Ma ładną figurę, może zbyt bujną, ale ładną; zuchwałę czarne oczy, czerwone

usta i śliczne włosy, ale to wszystko miała również przed laty. A teraz ma czterdzieści osiem lat, czterdzieści osiem lat!

Pani Hamlyn zainterpelowała męża bez ceremonji. Początkowo zaklinał się, że w jej oskarżeniach niema słowa prawdy. Przytoczyła dowody. Sposepniał i wkońcu przyznał się do wszystkiego. Nagle wygłosił zdumiewającą rzecz.

— Co ci to szkodzi? — zapytał.

Wpadła w szalony gniew i odpowiedziała mu pogardliwemi słowami. Wielka gorycz uczyniła ją wymowną i podyktowała jej bolesne ukłucia. Słuchał ze spokojnym wyrazem twarzy.

— Nie byłem dla ciebie złym mężem przez dwadzieścia lat naszego małżeństwa. Oddawna już jesteśmy dla siebie tylko przyjaciółmi. Jestem do ciebie przywiązany — bardzo — i uczucie to nie uległo najmniejszej zmianie. To, co daję Dorocie, nie przynosi ci żadnego uszczerbku.

— Co masz mi do zarzucenia?

— Nic. Trudno o lepszą żonę niż ty.

— Jak możesz tak mówić, wyrządzając mi jednocześnie taką wielką krzywdę?

— Nie chcę cię krzywdzić. To siła wyższa.

— Co ci też przyszło do głowy, żeby się w niej zakochać?

— Cóż ja mogę na to odpowiedzieć? Nie myślisz chyba, że tego chciałem?

— Mogłeś z tem walczyć.

— Walczyłem. Walczyliśmy oboje.

— Mówisz tak, jakbyś miał dwadzieścia lat. Przecież oboje jesteście ludźmi w średnim wieku. Ona o osiem lat starsza ode mnie. Ośmieszasz się w okropny sposób.

Nie odpowiedział. Nie zdawała sobie sprawy, co się działo w jej własnym sercu. Jakież to dziwne uczucie chwyciło ją za gardło niczem kleszcze — zazdrość, gniew czy poprostu zraniona duma?

— Nie pozwolę, żeby się ta komedia dłużej rozgrywała. Gdyby tylko chodziło o ciebie i o nią, rozwiodłabym się z tobą, ale przecież ona ma męża i dzieci. Na Boga, czy nie przyszło ci do głowy, że gdyby zamiast synów miała córki, jużby mogła być dzisiaj babką?

— O, naturalnie.

— Co za szczęście, że my nie mamy dzieci.

Wyciągnął rękę serdecznym gestem, jakby chcąc jej dotknąć, ale cofnęła się z przerażeniem.

— Naraziłeś mnie na pośmiewisko wszystkich naszych znajomych. Dla wspólnego dobra daruję ci wszystko pod warunkiem, że położysz temu kres — odrazu.

Spuścił oczy i zaczął się bawić japońskim cackiem, które stało na stoliku.

— Powiem Dorocie — rzekł wkońcu.

Skinęła lekko głową i wyszła bez słowa z pokoju. Gniew przesłonił jej oczy na fakt, że zachowanie jej było cokolwiek za melodramatyczne.

Czekała, jaki będzie rezultat jego rozmowy z Dorotą Lacom, ale on jakby o tem zapomniał. Był ci-

chy, uprzejmy i milczący, tak, że musiała go zainteresować sama.

— Czy zapomniałeś o swoim przyrzeczeniu? — zapytała ozięble.

— Nie. Mówiłem z Dorotą. Poleciała mi, abym ci powiedział, że twoje cierpienie przyprawia ją o rozpacz. Chciałaby się z tobą zobaczyć, ale obawia się, że źlebyś ją przyjęła.

— Coście postanowili?

Zawahał się. Był poważny i opanowany, lecz w głosie jego dawało się rozróżnić lekkie drzenie.

— Obawiam się, że na nicby się nie przydało dawanie przyrzeczenia, którego nie mogliśmy dotrzymać.

— A więc stało się — odpowiedziała.

— Muszę ci jeszcze powiedzieć, że gdybyś wystąpiła o rozwód, mybyśmy do tego nie dopuścili. Absolutnie nie byłabyś w możności zebrać dostatecznych dowodów i przegrałabyś sprawę.

— Wcale o tem nie myślałam. Pojadę do Anglii i poradzę się adwokata. W dzisiejszych czasach takie rzeczy przeprowadza się dosyć łatwo i zresztą zdam się na twoją wspaniałomyślność. Mam nadzieję, że zwrócisz mi wolność, nie wciągając w tę sprawę Doroty Lacom.

Westchnął.

— Co za przykra historia! Nie chciałbym się z tobą rozwodzić, ale naturalnie zrobię wszystko, co tylko będzie w mojej mocy, aby stało się tak, jak sobie życzysz.

— Na Boga, więc jak ja właściwie powinnam postąpić podług ciebie? — krzyknęła ze wzrastającym gniewem. — Siedzieć cicho i pozwolić robić z siebie pośmiewisko?

— Bardzo mi przykro, że stawiam cię w tak upokarzającym położeniu.

Spojrzał na nią oczami, w których malował się prawdziwy żal i udręczenie.

— Nie chcieliśmy się w sobie zakochać, to pewna. Oboje zdajemy sobie sprawę z naszego wieku. Dorota, jak mówisz, mogłaby być babką, a ja jestem łysawy, tęgi i mam pięćdziesiąt dwa lata. Zakochując się w dwudziestym roku życia, ma się złudzenie, że ta miłość będzie trwała wiecznie, ale po pięćdziesiątce wie się tyle o życiu i miłości, wie się, że to krótko potrwa...

Mówił cicho i żałośnie. Mogło się zdawać, że ogląda wzrokiem duszy żalobę jesieni i liście, spadające z drzew. Popatrzył poważnie na żonę.

— I w tym wieku czuje się, że nie powinno się odrzucać szczęścia, zesłanego przez kapryśne przeznaczenie. Za pięć lat będzie już z pewnością po wszystkim, a może nawet za sześć miesięcy. Życie jest jałowe i szare, a szczęście rzadkie, i wszystko kończy się śmiercią.

Tego rodzaju nastrój w mężu, którego uważała za człowieka praktycznego i prozaicznego, przyprowadził panią Hamlyn o uczucie gorzkiego bólu. Stał się nagle w jej oczach posępną i tragiczną, a nieznaną osobistością. Dwadzieścia lat wspólnego pojęcia nie

miało nad nim żadnej władzy. Była bezradna wobec jego żelaznej determinacji. Nie pozostawało jej nic innego, jak usunąć się im z drogi. I oto jechała do Anglii z urazą w sercu, zdecydowana uzyskać rozwód, którym mu zagroziła na samym wstępie.

Gładkie morze, mieniące się pod promieniami słońca niczem szklana tafla, było puste i wrogie jak życie, w którym nie było dla niej miejsca. W ciągu trzech dni nie spotkali ani jednego okrętu. Od czasu do czasu gładka powierzchnia kreśliła się na mginie oka lotem wyskakującej z morza ryby. Upał był tak wielki, że nawet najwytrzymalsi pasażerowie zaprzestali gier pokładowych i porozkładali się na leżakach. Reszta zeszła do kabin. Przed chwilą zjedzono lunch.

Nadszedł Linsell i usiadł obok niej.

— A gdzie szanowna małżonka? — zapytała pani Hamlyn.

— Nie wiem. Gdzieś tu musi być.

Oburzyła ją jego obojętność. Czyż nie widzi, że żona i doktor flirtują na dobre? Ale przecież nie tak jeszcze dawno musiała go obchodzić. Małżeństwo ich było bardzo romantyczne. Zaręczyli się, kiedy ona była pensjonarką, a on bezwąsłym młodzieniaszkiem. Musieli stanowić zachwycającą, wzruszającą parę, promieniejącą młodością i miłością. I tak prędko znużyli się jedno drugiem. Jakież to smutne! Co to mówił jej, pani Hamlyn, mąż?

— Przypuszczam, że po powrocie do kraju za-

mieszka pani w Londynie? — zapytał leniwie Linsell poto tylko, żeby coś powiedzieć.

— Pewnie — odpowiedziała obojętnie.

Ciężko było pogodzić się z faktem, że nie miała się gdzie udać i że nikogo nie obejdzie to, gdzie ewentualnie zamieszka.

Asocjacja pojęć skierowała jej myśli na Gallaghera. Zazdrościła mu zapału, z jakim powracał do ojczyzny, bawiła i wzruszała bujna wyobraźnia plantatora, z jaką opisywał przyszłą swoją siedzibę i przyszłą żonę... Przyjaciele pani Hamlyn w Yokchamie, którym powierzyła w zaufanie swoją tajemnicę rozwodową, zapewnili ją, że wyjdzie zamaż powtórnie. Ona sama niebardzo się kwapiła do powtórzenia nieudanego eksperymentu, a zresztą większość mężczyzn głębokoby się namyśliła, nimby zaproponowała małżeństwo kobiecie czterdziestoletniej. Pan Gallagher marzył o młodej, hożej osobie.

— Co się dzieje z panem Gallagherem? — zapytała potulnego Linsella. — Nie widziałam go już od paru dni.

— To pani nie wie? Chory.

— Biedny. Cóż mu jest?

— Ma czkawkę.

Pani Hamlyn roześmiała się.

— Nie choruje się przecież na czkawkę.

— Doktor jest zaniepokojony. Próbował wszelkich środków jak dotąd bez skutku.

— Dziwnie!

Zapomniała o tem wkrótce, ale na drugi dzień

rano, spotkawszy doktora, zapytała go o Gallaghera. Ku jej zdziwieniu wesoła, chłopięca twarz młodego lekarza okryła się cieniem smutku.

— Bardzo chory, bardzo.

— Na czkawkę? — krzyknęła, zdumiona.

Niemożliwem było brać na serjo tego rodzaju niedomagania.

— Nie może jeść — wszystko zrzuca zpowrotem. Nie może sypiać i jest straszliwie wyczerpany. Próbowałem wszelkich możliwych środków...

Zawahał się.

— I, o ile nie uda mi się zaradzić prędko tej czkawce, to — nie wiem, jak się to skończy.

Pani Hamlyn zdretwiała.

— Ależ on taki silny, taki pełen życia!

— Chciałbym, żeby pani go teraz zobaczyła.

— Czy nie miałby nic przeciwko temu?

— Z pewnością nie. Proszę za mną.

Gallagher został przeniesiony z kabiny do szpitala okrętowego. Zbliżając się do wejścia, usłyszeli głośną czkawkę. Odgłos ten, będący zazwyczaj objawem przejedzenia, **wydawał się przedewszystkiem śmieszny.** Ale wygląd ofiary dziwnego niedomagania przypawił panią Hamlyn o silne wstrząśnienie. Plantator schudł bardzo silnie, i na karku potworzyły mu się fałdy luźnej skóry. Pod opalenizną przeświecała chorobliwa bladość twarzy. Oczy, pełne przedtem śmiechem, uderzały wyrazem posępnej rozpacz. **Wielkiem ciałem wstrząsała bezustanna czkawka, w której nie było teraz nic rażącego.** Pani Hamlyn z

niewiadomego powodu wydał się ten dźwięk dziwnie przerażający. Na jej widok chory uśmiechnął się uprzejmie.

— Ogromnie panu współczuję — rzekła.

— Nie umrę na to — wysapał z trudem. — Zobacz jeszcze zielone brzegi Erynu.

Obok łóżka siedział jakiś człowiek, który, ujrzawszy wchodzących, wstał.

— Pan Pryce — przedstawił lekarz. — Były mechanik z plantacji pana Gallaghera.

Pani Hamlyn skinęła głową.

Był to właśnie ów pasażer drugiej klasy, o którym plantator wspominał w czasie dyskusji nad bałem kostjumowym. Odznaczał się on bardzo małym wzrostem, ale był zażywny, krzepki i pewny siebie i z twarzy jego biła sympatyczna zadzierzystość.

— Cieszy się pan, że wracacie do kraju? — zapytała pani Hamlyn.

— Jakżeby nie, proszę wielmożnej pani — odpowiedział.

Intonacja, z jaką zostały wypowiedziane te słowa, dała jej poznać, że ma przed sobą londyńczyka z ludu, i w sercu jej wezbrała sympatja do typowo wesołego, rozsądnego, pogodnego i beztroskiego osobnika.

— Pan nie z Irlandji? — zapytała z uśmiechem.

— Nie, panienko. Moje strony to Londyn, ale psiakość, nie martwiłbym się, żeby już tam moja noga więcej nie powstała.

Pani Hamlyn nigdy się nie obrażała, gdy ją brano za pannę.

— Pójdę ja, proszę wielmożnego pana — rzekł mechanik, zwracając się do swego pana, przyczem wykonał ręką taki gest, jakby chciał unieść czapki, chociaż był z gołą głową.

Pani Hamlyn zapytała chorego, czy nie mogłaby mu być w czem pomocną, poczem, zabawiwszy u niego parę minut, wyszła razem z doktorem.

Pryce czekał za drzwiami.

— Czy nie mógłbym prosić panienkę o chwilę rozmowy? — zapytał.

— Owszem.

Kabina szpitalna znajdowała się od strony rufy. Stanęli koło barjery i spojrzeli na pokład, gdzie na zakrytych lukach wylegiwali się leniwie niebędący na służbie marynarze.

— Sam nie wiem, jak mam zacząć — rzekł mechanik.

W głosie jego brzmiał ton niepewności, a na ruchliwej, pomarszczonej twarzy malowała się dziwna, obca jej powaga.

— Służyłem u pana Gallaghery przez cztery lata i lepszego od niego człowieka ze świecą szukać.

Zawahał się ponownie.

— Bogiem a prawdą nie podoba mi się to wszystko.

— Co się panu nie podoba?

— Jeżeli się panienka pyta, to powiem, że on patrzy na księżą oborę. Doktor o tem wie. Powie-

działem mu, ale ani nie chce słuchać. Myśli, że jestem głupi.

— Nie trzeba upadać na duchu, panie Pryce. Doktor jest powagą, chociaż taki młody, i ludzie nie umierają na czkawkę. Jestem pewna, że za dwa—trzy dni pan Gallagher będzie zdrowy i wesoły.

— Wie panienka, kiedy się to zaczęło? Jak nam tylko ład zeszedł z oczu. A ona przepowiedziała mu, że już nigdy nie zobaczy swojego kraju.

Pani Hamlyn odwróciła się i spojrzała w twarz małemu mechanikowi, którego przewyższała wzrostem najmniej o trzy cale.

— O kim pan mówi?

— Mnie się widzi, że ona jego zaczarowała, jeżeli panienka rozumie, co to znaczy. Lekarstwa jemu nie pomogą. Panienka nie wie, co to są malajskie baby, a ja znam je jak zły grosz.

Panią Hamlyn ogarnęło nagłe przerażenie, i dlatego właśnie wzruszyła ramionami i roześmiała się.

— Co za głupstwa, panie Pryce!

— Doktor powiedział kubek w kubek te same słowa. Ale wspomni panienka moje słowa. Pan Gallagher umrze, zanim zobaczymy ziemię.

Mówił tak poważnym tonem, że niesposób było oprzeć się przyływowi jakiejś nieokreślonej trwogi.

— W jakim celu miałyby ktoś rzucać czary na pana Gallaghera? — zapytała.

— Proszę panienki, nie uchodzi mówić o takich rzeczach do delikatnie wychowanej kobiety.

— Proszę, niech się pan nie krępuje.

Pryce był tak dalece zakłopotany, że w innych okolicznościach pani Hamlyn trudnoby się było powstrzymać od wesołego śmiechu.

— Pan Gallagher mieszkał długo na pustkowiu zdaleka od ludzi, i ma się rozumieć, nudno mu było i samotnie. Panienska wie, jacy są mężczyźni.

— Jestem od dwudziestu lat mężatką — odpowiedziała z uśmiechem.

— Przepraszam wielmożną panią. Prawda jest taka, że żył z Malajką. Nie wiem już sam, jak długo, dziesięć czy dwanaście lat. Postanowił wreszcie, że wróci do kraju na dobre. Ona nic na to nie powiedziała. Ani słowa. Siedziała spokojnie i już Myślał, że piekło mu zrobi, a ona nic. Ma się rozumieć, zapłacił jej, jak należy. Dał domek, jak się patrzy, i wyznaczył na miesiąc tyle i tyle stałej pensji. Trzeba powiedzieć na pochwałę pana, że hojnie się z nią obszedł, i ona wiedziała od samego początku, że ją kiedyś odjedzie. Ani nawet nie zapłakała. Siedziała tylko i patrzała, jak on pakował i odsyłał rzeczy. I jak sprzedał meble Chińczykom, też nic nie powiedziała. Dałby jej wszystko, o coby go poprosiła. I przyszedł na niego czas jechać do portu, a ona nic, tylko siedzi na stopniach bungalowu, patrzy i ani parę z ust nie puści. Chciał się z nią pożegnać, tak, jakby każdy zrobił na jego miejscu, i czy pani uwierzy, nawet się nie poruszyła.

— Nie pożegnasz się ze mną? — powiada do niej.

A jej twarz dziwnie się jakoś przemieniła, i wie pani, co mu odpowiedziała?

— Jechać ty — powiada...

Dziwnie oni gadają te tubylcy, nie tak, jak my.

— Jechać ty — powiada — ale ja ci mówić, że nigdy nie dojechać do swój kraj. Jak łąd zająć w morze, śmierć się do ciebie przybliży i, nim ziemia wyhynać z morze zpowrotem, śmierć już ciebie zabrała.

Aż mnie ciarki przeszły, proszę wielmożnej pani, jak ona to powiedziała.

— A co na to powiedział pan Gallagher? — zapytała pani Hamlyn.

— Pan jak to pan. Wie pani, jaką on ma naturę! Roześmiał się tylko. „Zawsze kiepkujesz” — powiada. Wskoczył do samochodu, i już nas nie było!

Pani Hamlyn ujrzała w wyobraźni jasną, słoneczną drogę, biegnącą przez plantację gumy; zieloność, spokój — faliści terenu, dżungla... Samochód, prowadzony przez lekkomyślnego Malajczyka, mknie z białymi pasażerami obok domów malajskich, stojących zdaleka od drogi wśród zasekwestrowanych drzew kokosowych, przelatuje przez wioski, których place targowe roją się od ciemnoskórego, drobnego ludu w jasnych sarongach... Pod wieczór wjeżdża do cywilizowanego, współczesnego miasta, z golfem, z klubami, z porządną restauracją, białymi mieszkaniami i stacją kolei żelaznej, skąd dwaj podróżnicy odjadą pociągiem do Singapore. A kobieta siedzi na stopniach bungalowu, do którego wprowadzi się nie-

długo nowy dyrektor, i patrzy na drogę z uciekającym punkcikiem samochodu. Patrzy, patrzy, patrzy na pustą drogę, patrzy na zapadające ciemności...

— Jak ona wyglądała? — zapytała.

— Jak wyglądała? Mnie się widzi, że wszystkie te Malajki są na jedno kopyto — odpowiedział Pryce. — A po drugie nie była już taka młoda, i wie pani, jak tamtejsze kobiety spasają się z latami. Okropnie nieraz patrzeć, takie tłuste!

— Tłuste?

Z jakiegoś absurdalnego powodu słowa te napełniły panią Hamlyn przerażeniem.

— Pan Gallagher zawsze lubiał sobie dogadzać, jeżeli mnie pani rozumie.

Zdetonowana kobieta przywołała na pomoc zdrowy rozsądek. Zniecierpliwiła ją myśl, że bodaj na chwilę poddała się sugestji przesądnego prostaka.

— Nonsens, panie Pryce. Tłuste kobiety nie mogą rzucać czarów na odległość tysiąca mil. W gruncie rzeczy tłuste kobiety mają utrudnione życie pod każdym względem.

— Może się panienka śmiać, ale jeżeli się jaki cud nie zrobi, to mój pan przeniesie się na tamten świat. Wspomni pani moje słowa. Żadne lekarstwo jemu nie pomoże, żaden doktor.

— Niech się pan uspokoje, panie Pryce. Ta tłusta kobieta nie mogła mieć do pana Gallaghera żadnej pretensji. Obszedł się z nią tak dobrze, jak rzadko kto w danych okolicznościach na Wschodzie. Z jakiej racji miałyby mu życzyć nieszczęścia?

— My nie wiemy, co one sobie myślą. Biały człowiek może żyć przez dwadzieścia lat z taką wiedzą i ani nie przeczuje, co się wysmaża w jej czarnem sercu. Gdzie tam, niesposób ich przejrzeć!

Melodramatyczny styl mechanika nie rozśmieszył jej z powodu swej uczuciowej intensywności. Któż mógł wiedzieć lepiej niż ona, że serca ludzkie są nieobliczalne i niezgłębione bez względu na kolor skóry.

— Ale nawet, gdyby miała do niego urazę, gdyby go nienawidziła i chciała zabić, to cóżby mogła zrobić? Jakby tego dokazała?

Dziwna rzecz! Pani Hamlyn starała się nieświadomie ukoić temi pytaniami wewnętrzny niepokój.

— Niema żadnej trucizny, która mogłaby zacząć działać dopiero po tygodniu.

— A czy ja powiedziałem, że to trucizna?

-- Doprawdy, panie Pryce — rzekła z uśmiechem — nie dam w siebie wmówić bajeczki o czarach.

— Mieszkała pani na Wschodzie?

— Przez dwadzieścia lat.

— Więc jeżeli pani może powiedzieć, co jest w ich mocy, a co nie, to wie pani więcej ode mnie.

Zacisnął pięść i uderzył nią w barjerę z nagłą gniewną gwałtownością.

— Mam po uszy tego podłego kraju. Zaleli mi tam sadła za skórę, niech ich ciężka cholera! My im nie dorównamy, my, biali ludzie, niema co mówić! Przepraszam wielmożną panią, pójdę się napić, bo mi niedobrze.

Ukłonił się i odszedł. Pani Hamlyn patrzyła, jak mały, krzepki człowieczek w zniszczonem khaki zeszedł po trapie i zniknął ze schyloną głową w restauracji drugiej klasy.

Nie rozumiała, skąd się w niej wzięło uczucie nieokreślonego niepokoju. Prześladował ją obraz otyłej kobiety, już nie pierwszej młodości, w sarongu, w kolorowym żakiecie i złotych ornamentach, siedzącej na stopniach bungalowu i patrzącej na pustą drogę. Rozlana twarz była umalowana, a w ogromnych suchych oczach nie odbijało się żadne uczucie. Dwaj mężczyźni, odjeżdżający samochodem, zachowywali się niczem uczniowie, zwolnieni ze szkoły na wakacje. Gallagher westchnął pewnie z ulgą. Wczesny poranek i przeczyste niebo napełniały go oszalałą radością. Perspektywa przyszłości przedstawiała mu się jak ta słoneczna wstęga drogi, biegnącej przez zieloną równinę.

Pod koniec dnia pani Hamlyn zapytała ponownie doktora o zdrowie pacjenta.

Potrząsnął głową.

— Jestem bezradny. Wyczerpałem wszystkie środki.

Skrzywił się boleśnie.

— Psie szczęście — przepraszam panią — spotkać się z takim wypadkiem. Na lądzieby człowiekowi zaszkodziło, a cóż dopiero na okręcie...

Pochodził z Edynburga i skończył świeżo studia. Podróż tę traktował jako wakacje przed zabraniem się do praktyki. Czuł się skrzywdzony przez los, któ-

ry zamiast spodziewanych rozrywek poczęstował go tajemniczą chorobą. Naturalnie brakło mu doświadczenia, ale robił wszystko, co tylko leżało w jego mocy. Myśl, że pasażerowie uznają go za głupca i ignorantę, doprowadzała go do krańcowej rozpaczki.

— Czy wie pan, co mówi Pryce? — zapytała pani Hamlyn.

— Nigdy w życiu nie słyszałem podobnych niedorzeczności. Powiedziałem o tem kapitanowi Wpadł w pasję. Nie chce, żeby się to rozgłosiło wśród pasażerów i wywołało panikę.

— Będę milczeć jak grób.

Doktór popatrzył na nią przenikliwie

— Naturalnie pani nie wierzy, żeby w tem wszystkim była choć odrobina prawdy? — zapytał.

— Naturalnie, że nie.

Popatrzyła na morze, błękitne, jasne, gładkie i połyskliwe.

— Mieszkałam długo na Wschodzie — dodała. — Dzieją się tam dziwne rzeczy.

— Zaczyna mi to działać na nerwy — rzekł doktor.

Niedaleko od nich na pokładzie grali w krążki dwaj japończycy. W tenisowych koszulkach, białych spodniach i gumowych pantoflach prezentowali się elegancko i pociągająco dla oka. Wyglądali bardzo po europejsku, i nawet porozumiewali się po angielsku, a jednak widok ich przyprawił panią Hamlyn o spazm nieokreślonego strachu. Fakt, że przyswoili sobie z taką łatwością obce pióra, nadawał im jakiś

złowrogi charakter. I jej nerwy zaczynały wypowiadać posłuszeństwo.

W krótkim czasie niewiadomo jakim sposobem, po okręcie rozeszła się wieść, że Gallagher został zaczarowany. Rozmawiały o tem zniżonemi głosami panie, zajęte na pokładzie szyciem kostjumów na zabawę Bożego Narodzenia, rozprawiali w palarni nad coctaiem mężczyźni. Wielu z pasażerów mieszkało długie lata na Wschodzie, to też z zakątków ich pamięci zaczęły płynąć dziwne, niesamowite historie.

Naturalnie absurdem było myśleć na serjo, że Gallagher padł ofiarą złośliwego czaru, takie rzeczy są nie do wyobrażenia, a jednak miały miejsce fakty takie i takie, i nikt nie był w stanie ich wytłumaczyć.

Doktor był zmuszony przyznać się, że nie jest w możności określić choroby Gallaghery; mógł wyjaśnić jej objawy z punktu widzenia filozofji, ale przyczyna tej straszliwej czkawki, która owdładnęła nagle organizmem nieszczęśliwego, pozostała dla niego zagadką.

Czuąc się nieokreślenie winnym, próbował się bronić.

— Tego rodzaju wypadek może się człowiekowi nie zdarzyć w ciągu najdłuższej praktyki — mówił. — Ot, psie szczęście!

Komunikował się zapomocą telegrafu bez drutu z przepływającemi okrętami, z których udzielano mu rad i wskazówek.

— Zastosowałem wszystko, co mi radzą — mówił z irytacją. — Doktor z japońskiego okrętu pora-

dził mi adrenalinę. Skąd ja, u diabła, wezmę adrenalinę na środku Oceanu Indyjskiego?

Było coś przejmującego w myśli o okręcie, mknącym przez puste morze i odbierającym ze wszystkich stron niewidzialne polecenia. Wydawał się on teraz dziwnie samotny, a jednocześnie stał się jakby środkiem świata. W lazarecie chory człowiek, wstrząsany okrutnymi spazmami, dyszał ostatkiem życia. Nagłe pasazerowie dowiedzieli się, że kierunek statku został zmieniony, i że kapitan zdecydował się zawinąć do Adenu. Gallagher miał być wysadzony na ląd i odesłany do szpitala. Główny mechanik otrzymał rozkaz jak największego forsowania kotłów. Stary okręt trzął się i dygotał z nadmiernego wysiłku. Pasażerowie, przyzwyczajeni do równomiernego stuknięcia maszyn, odczuli wzmożoną wibrację jako wstrząśnienie. Każdemu zdawało się, że zaczyna się z nim dzieć coś niedobrego. A morze puste było, jak okiem sięgnąć, zupełnie tak, jakby płynęli przez świat, na którym wygasło wszelkie życie. Niepokój, jaki ogarnął cały okręt, ale do którego nikt się nie przyznawał, przeszedł stopniowo w ogólne wzburzenie. Zapanał nastrój irytacji, i ludzie sprzeczekali się o drobiazgi, które w innych okolicznościach wydawałyby się niegodne uwagi. Pan Jephson sywał banalnemi dowcipami, które nie wywoływały już teraz uśmiechu na niczyje usta. Linsellowie pokłócili się, i późnym wieczorem słyhać było, jak przechadzali się po pokładzie, przyczem ona zasypywała męża potokiem gwałtownych wymówek, wypowiedzianych zniżonym, wście-

kłym głosem. W palarni doszło przy bridżu do wielkiej awantury, po której nastąpiło pojednanie, zapieczone ogólną pijatyką. Gallagher nie schodził nikomu z myśli, chociaż mówiono o nim mało. Doktor oznajmił, że plantator nie przeżyje trzech—czterech dni. Dyskutowano cierpko w jakim czasie okręt dotrze do Adenu. Co się stanie z chorym po wysadzeniu go na ląd, to już nie ich sprawa. Byle tylko nie umarł w drodze.

Pani Hamlyn odwiedzała go dzień w dzień. Obserwowała, jak ginął w oczach z taką samą nagłością, z jaką rośnie trawa po tropikalnym deszczu na wiosnę. Skóra obwisła mu luźno na kościach, a podwójna broda upodobniła się do pomarszczonych korali indyka. Policzki miał zapadnięte. Teraz dopiero widać było w całej okazałości rozmiary jego kościstego ciała, które rysowało się pod prześcieradłem niby szkielet przedhistorycznego olbrzyma. Po większej części leżał z zamkniętymi oczami, odrętwiały od morfiny, ale wstrząsany bezustannie okropnymi spazmami. Kiedy od czasu do czasu podnosił powieki, oczy jego wydawały się nadnaturalnie olbrzymie. Rozglądał się naokoło jak nieprzytomny. Poznawszy panią Hamlyn, zmuszał się do pełnego galanterji uśmiechu.

— Jak się pan czuje? — pytała.

— Nieźle, nieźle. Przyjdę do siebie, jak tylko wydestaniemy się poza strefę tych przeklętych upałów. Ach, Boże, jak ja tęsknię do Atlantyku. Nie wiem, co dałbym za to, żeby się zanurzyć w jego wodach, w szarych, zimnych wodach Galway'u.

Porwał go taki atak czkawki, że zadygotał od stóp do głów. Czuwał nad nim Pryce i dozorczytni. Twarz małego londyńczyka nie promieniała już teraz wyrazem zuchwałej wesołości. Przeciwnie, była posępna jak noc.

— Kapitan wezwał mnie wczoraj do siebie — rzekł do pani Hamlyn, gdy znaleźli się sam na sam — i wymyślał mnie od ostatnich.

— Dlaczego?

— Ze to niby puszcza głupie plotki i że straszę pasażerów. Kazał mi trzymać język za zębami i zagroził, że będzie ze mną źle. To nie moja robota. Mówiłem o tem tylko do pani i do doktora, a poza tem nie pisałem słowa do nikogo.

— Cały okręt wie o tem.

— A jakżeby nie? Czy pani myśli, że tylko ja uważam, że on został zaczarowany? A Hindusi i Chińczycy z załogi to oni niby nie wiedzą, co jemu jest? Pani chyba nie myśli, że można ich dużo nauczyć, co? Oni wiedzą, że to nie jest żadna naturalna choroba.

Pani Hamlyn milczała. Wiedziała od służby, że na okręcie z wyjątkiem białych nikt nie wątpi, iż kobieta, którą Gallagher pozostawił w dalekim Selantanie, zabija go zapomocą magji. Wszyscy byli przekonani, że z chwilą, gdy na horyzoncie ukażą się jałowe skały Arabji, nieszczęśliwy przeniesie się do wieczności.

— Kapitan powiedział, że jeżeli usłyszysz, że ja próbuję jakich hokus-pokus, to zamknie mnie w kajucie na resztę podróży — powiedział nagle Pryce,

przyczem jego pomarszczona twarz wykrzywiła się kwaśnym grymasem.

— Co to ma znaczyć hokus-pokus?

Patrzył na nią przez chwilę dzikim wzrokiem, tak, jakby i ją podciągał pod swą gniewną urazę przeciwko kapitanowi.

— Doktor wypróbował wszystkie swoje medykamenty i telegrafował na wszystkie strony. I co z tego wyszło? Niech mi pani powie. Czy to nie widzi młokos, że tamten umiera? Teraz już pozostaje tylko jeden sposób ratunku.

— Jaki?

— Magja go zabija i tylko magja może go uratować. O, niech pani nie mówi, że to do niczego. Sam widziałem takie rzeczy na własne oczy. — Podniósł głos, piskliwy i pełen irytacji. — Widziałem, jak człowieka wydarto z paszczyki śmierci, jak to powiadają, Wezwali pawangę, czyli po naszymu znachora, i on zrobił swoje sztuczki. Widziałem na własne oczy.

Pani Hamlyn milczała. Pryce popatrzył na nią badawczym wzrokiem.

— Jeden z Hindusów na okręcie jest czarownik, taki sam, jak tamten pawang. I on powiada, że to zrobi. Tylko, że musi mieć jakieś żywe stworzenie. Wystarczyłby kogut.

— Naco panu potrzebne żywe stworzenie? — zapytała pani Hamlyn, marszcząc lekko czoło.

Mechanik obrzucił ją podejrzliwem spojrzeniem.

— Radzę pani nic o tem nie wspominać. Niczego nie zaniedbam, żeby uratować mojego pana. A je-

żeli kapitan dowie się o tem i zamknie mnie w kabine, no to jego rzecz, jego władza.

W tej chwili podeszła pani Linsell, i Pryce opuścił obie damy z dziwacznym gestem, oznaczającym ukłon. Pani Linsell poprosiła panią Hamlyn, aby pomogła jej udrapować kostjum, jaki sobie przygotowywała na bal. W drodze do kabiny wyraziła trwożne przypuszczenie, że pan Gallagher może umrzeć w samo Boże Narodzenie, a w takim razie nie możnaby urządzić tańców. Zagroziła doktorowi, że nie będzie go chciała, jeżeli do tego dopuści, i on dał jej solenne przyrzeczenie, że utrzyma biedaka przy życiu aż noza święta.

— I jemu byłoby przyjemniej — rzekła.

— Komu? — zapytała pani Hamlyn.

— Biednemu panu Gallagherowi. Chyba nikt nie pragnie umierać w samo Boże Narodzenie?

— Nie wiem doprawdy — odpowiedziała pani Hamlyn.

Tej nocy po krótkim śnie obudziła się, płacząc. Przeraził ją ten płacz przez sen, który oznaczał, że złamała się w niej nieświadomie siła oporu przeciwko powikłaniom losu. Odtworzyła pamięcią po raz niewiadomo który szczegóły katastrofy, która ją tak głębokoko dotknęła. Powtórzyła w myśli rozmowy z mężem, żalując, że nie powiedziała tego lub tamtego, i wyrzucając sobie, że czegoś tam nie powiedziała. Żalowała również z całego serca, że nie zignorowała wygodnie eskapady męża. Zadawała sobie pytanie, czy nie mądrzej byłaby postąpiła, gdyby schowała dumę do kieszeni i zamknęła oczy na niemiłą prawdę.

Była kobietą światową i rozumiała, że rozchodząc się z mężem, traci o wiele więcej niż jego miłość, bo określony punkt oparcia w życiu, zapewnioną pozycję towarzyską i dobrobyt materialny. Wiedziała o wielu kobietach, żyjących w separacji z małymi, nieokreślonych dochodów. Wiedziała, jak prędko przyjaciele zapominają o nich, znajdując je nudnemi i męczącemi.

A ona była samotna, samotna jak ten okręt, gnający całą siłą pary po bezludnej pustyni morza, samotna jak ten nieszczęśnik, konający w lazarecie szpitalnym. Pani Hamlyn uświadomiła sobie, że smutne myśli wzięły nad nią górę i że teraz niełatwo usnie. W kajucie było duszno i gorąco. Spojrzała na zegarek. Dopiero po czwartej! Do świtu pozostawały jeszcze dwie rozpaczliwe godziny nocnych trwóg i majaczeń.

Ubrała się w kimono i wyszła na pokład. Noc była ciemna, i pomimo bezchmurnego nieba nie było widać żadnej gwiazdy. Stary okręt, dysząc i dygocząc, parł wśród ciemności do celu swojej podróży. Panowała niesamowita cisza. Pani Hamlyn szła wolno przez pusty pokład. Bose jej stopy dotykały ostrożnie desek. Było tak ciemno, że nie widziała nawet swojej ręki. Doszedłszy do końca spacerowego pokładu, oparła się o barjerę.

Nagle drgnęła, i uwaga jej skierowała się na dolny pokład, na którym błyskało jakieś światelko. Przechyliła się ostrożnie przez balustradę. Naokół małutkiego ogniska widniały nagie plecy siedzących w kuczki ludzi, którzy zasłaniaли sobą płomienie, tak, że

z górnego pokładu widać było tylko ich odbłask. Z samego brzegu majaczyła krępa postać w piżamie. Tamto — krajowcy, to — z pewnością Europejczyk. Pewnie Pryce.

Domyśliła się odrazu, że odbywa się jakaś ciemna ceremonia egzorcyzmów. Natężyła słuch i usłyszała stłumiony głos, recytujący litanję magicznych słów. Przeszły ją zimne dreszcze. Wiedziała, iż zbyt są pochłonięci swojemi praktykami, aby uważać, czy ich kto nie śledzi, ale pomimo to nie odważyła się wykonać najlżejszego ruchu. Nagle parną ciszę nocy rozdarło pianie koguta niczem trzask pękającej napiętej sztuki jedwabiu. Pani Hamlyn o mało nie krzyknęła. Pryce próbował uratować życie swemu panu i przyjacielowi przez złożenie ofiary obcym bogom Wschodu.

Cichy głos mruczał uporczywie zaklęcia. Po chwili w ciemnem kole zrobił się ruch. Działo się coś niewiadomego. Rozległo się gniewne gđkanie przestraszonego koguta, a potem dziwny, nieokreślony odgłos. Czarodziej przecinał ptakowi gardło.

I znów zapadło milczenie.

Wreszcie tajemnicze praktyki dobiegły końca, i ktoś zdeptał ognisko. Mroczne postacie rozplynęły się w ciemnościach nocy. Zapanował ten sam spokój, co poprzednio, macony tylko regularnem dygotaniem maszyn.

Pani Hamlyn stała przez chwilę nieruchomo, dziwnie wstrząśnięta, poczem cofnęła się wolno na środek pokładu i położyła się na znalezionym poomacku leżaku. Drżała od stóp do głów. Nie wiedziała,

co się stało, mogła tylko snuć przypuszczenia. Nie wiedziała, jak długo trwała w stanie drętwego oszłomienia, ale wyczuła wkońcu bliskość świtu. Dzień się jeszcze nie zaczął, chociaż już było po nocy. Na ciemnym tle nieba zarysowała się barjera okrętu. Nagle zauważyła, że ktoś się do niej zbliża — postać w piżamie.

— Kto tam? — krzyknęła nerwowo.

— To ja, doktor — zabrzmiał przyjazny głos.

— Ach! Co pan tu robi o tak wczesnej godzinie?

— Byłem u Gallaghery.

Usiadł obok niej i zapalił papierosa.

— Zastrzyknąłem mu silną dawkę morfiny, i uspokoił się.

— Czy tak bardzo cierpiał?

— Myślałem, że już kona. Obserwowałem go, kiedy nagle usiadł na łóżku i zaczął bełkotać po malajsku. Naturalnie nie zrozumiałem z tego ani słowa. Powtarzał ciągle jeden i ten sam wyraz

— Może to było imię, imię kobiety?

— Chciał wyskoczyć z łóżka. Miałem z nim przeprowadzić nie na żarty, bo pomimo wyczerpania jest jeszcze niezwykle silny. Obawiałem się, że rzuci się do morza. Zdawało mu się, że ktoś go woła.

— O której godzinie to miało miejsce? — zapytała cicho pani Hamlyn.

— Między czwartą i wpół do piątej. Dlaczego się pani pyta?

— Nic.

Przeszły ją znów dreszcze.

Później o poranku, kiedy na okręcie obudziło się życie, spotkała na pokładzie Pryce'a, który pozdrowił ją pośpiesznie i odszedł szybko ze spuszczoneymi powiekami. Wyglądał na znużonego i zdenerwowanego. Pani Hamlyn wyobraziła sobie po raz niewiadomo który tłustą kobietę ze złotymi ozdobami w gęstych czarnych włosach, siedzącą na stopniach opustoszałego bungalowu i spoglądającą na drogę, obrośniętą drzewkami gumy.

Panował straszny upał. Zrozumiała teraz, dlaczego noc była taka ciemna. Zamiast zwykłego błękitu niebo przyoblekło śmiertelną, równomiernie białą barwę. Powierzchnia jego była zbyt jednostajna, aby robić wrażenie chmur. Mogło się zdawać, że w górnych warstwach powietrza zawisnął całun gorąca. Nie wiał najłżejszy wietrzyk. Morze było bezbarwne i gładkie tak, jak i niebo, i przypominało farbę w kubelku malarza.

Pasażerowie byli jak nieprzytomni. Dyszeli ciężko, spacerując po pokładzie, i czoła ich perliły się potem. Rozmawiano zniżonemi głosami.

Nad okrętem wisiało coś niepokojącego i niesamowitego. Nikt się nie śmiał, a w sercach wzbierały wrogie, gorzkie uczucia. Wszyscy byli żywi i zdrowi, to też dręczyła ich myśl, że w pobliżu ktoś umiera i że ta śmierć działa na nich w taki tajemniczy sposób. Jeden z pasażerów, plantator, siedząc w palarni nad dżinem, wyraził brutalnie to, co większość czuła, a czego nie wypowiadała.

— Jeżeli ma kipnąć — rzekł — to niech to zrobi odrazu. Ciarki mi chodzą po skórze.

Dzień przedłużał się w nieskończoność. Nadeszła wkońcu pora obiadowa. Wszyscy odetchnęli z ulgą. Pani Hamlyn usiadła przy stole doktora.

— Kiedy dopłyniemy do Adenu? — zapytała.

— Jutro rano. Kapitan mówi, że zobaczymy ląd między piątą i szóstą.

Spojrzała nań badawczym wzrokiem. Patrzył na nią przez chwilę, poczem spuścił oczy i zaczerwienił się. Pamiętał, że tłusta kobieta, siedząca na stopniach bungalowu, przepowiedziała Gallagherowi śmierć przed dobieciem do lądu. Pani Hamlyn zadała sobie pytanie, czy w tym sceptycznym, realistycznym młodym doktorze nie obudziły się wątpliwości.

Zmarszczył czoło i, jakby starając się opanować wzburzenie, spojrzał na nią ponownie.

— Wielki ciężar spadnie mi z serca, gdy oddam mego pacjenta szpitalowi w Adenie — rzekł.

Na drugi dzień była wilja Bożego Narodzenia. Gdy pani Hamlyn ocknęła się z gorączkowych majaczeń, na wschodzie różowiła się smuga świtu. Wyjrzała przez luk i stwierdziła, że niebo jest czyste i jasne. W ciągu nocy mgły pierzchły, i zawitał ranek pogodny i promienisty. Z lżejszym sercem wyszła na pokład. Tuż nad linią horyzontu migotała blado ostatnia gwiazda. Morze mieniło się srebrzyście jakby pod dotknięciem lekkiego wietrzyku. Światło było cudownie delikatne niczem budząca się w lesie wiosna,

i tak krystaliczne, że przypominało przezroczystą wodę w górskim strumieniu.

Obróciła się, by spojrzeć na młodocianą tarczę słońca, i zobaczyła zbliżającego się do niej doktora. Był w mundurze. Nie kładł się przez całą noc, miał zwichrzone włosy i szedł zgarbiony, tak, jakby był śmiertelnie znużony. Poznała odrazu, że Gallagher nie żyje. Doktor stanął koło niej. Zobaczyła, że płacze. Wyglądał tak młodo, tak chłopięco, że ogarnęło ją wielkie współczucie. Ujęła go za rękę.

— Biedaku! — rzekła. — Bardzo pan znużony?

— Zrobiłem wszystko, co było w mojej mocy — odpowiedział bez związku. — Pragnąłem go uratować z całego serca.

Głos mu drżał. Był bliski hysterji

— Kiedy umarł? — zapytała.

Zamknął oczy, starając się opanować wzburzenie, poczem odpowiedział:

— Przed kilku minutami.

Zagryzł rozdygotaną wargę.

Pani Hamlyn westchnęła. Nie znalazła nic do powiedzenia. Wzrok jej przesunął się po spokojnym, milczącym, wiecznie młodem morzu, które rozpościerało się dokoła, tak nieskończone, jak ludzkie cierpienie. Nagle spojrzenie jej zatrzymało się na przepaścistej, zwartej chmurze, mającej na kresach horyzontu. Zarysy tej masy były jednak jak na chmurę za ostre. Dotknęła ramienia doktora.

— Co to takiego?

Patrzył przez chwilę, i twarz jego pod opalenizną okryła się bladością.

— Ład.

I znów pani Hamlyn ujrzała tłustą Malajkę, siedzącą w milczeniu na stopniach bungalowu Gallaghera.

Czy ona wie, co się stało?

Pogrzeb odbył się, gdy słońce stanęło wysoko na niebie.

Zbrali się wszyscy na dolnym pokładzie — pasażerowie pierwszej i drugiej klasy, biali stewardowie i europejscy oficerowie.

Misjonarz odczytał modlitwę.

„Człowiek, urodzony z niewiasty, ma krótki dzień nędznego żywota. Wschodzi i ginie jako kwiat, ucieka jako cień i nigdy nie postanie w miejscu”.

Pryce stał ze spuszczonei oczami, zmarszczone czołem i zaciśniętymi zębami. Nie cierpiał, bo w sercu jego wrzał wielki gniew. Doktor i konsul stali obok siebie. Na twarzy konsula malował się dobrze udany wyraz oficjalnego żalu. Doktor, starannie ogolony, w świeżym mundurze ze złotą plecionką, był blady i strasznie mizerny. Oczy pani Hamlyn przeniosły się z niego na panią Linsell, tulącą się z płaczem do męża, który trzymał ją czule za rękę. Pani Hamlyn nie mogła sobie wytłumaczyć, dlaczego ten widok zrobił na niej wrażenie. W chwili

cierpienia i rozstroju nerwowego młoda kobieta uciekła się instynktownie pod opiekę męża. Pani Hamlyn doznała nagle lekkiego dreszczu i utkwiała oczy w deski pokładu, nie chcąc patrzeć, co się teraz będzie działo. Umilkła modlitwa, i zrobiło się pewne poruszenie. Jeden z oficerów wydał rozkaz. Misjonarz czytał dalej:

„Podobało się Najwyższemu w Jego nieprzebranem miłosierdziu powołać do swej chwały naszego drogiego brata; przeto powierzamy jego ciało głębinie, aby, obróciwszy się w proch, doczekało zmartwychwstania, kiedy morze odda swoje umarłe“.

Pani Hamlyn poczuła, że po policzkach spływają jej gorące łzy. Rozległo się głucho pluśnięcie.

Misjonarz czytał dalej.

Po skończonem nabożeństwie żałobnem zebrani rozeszli się po okręcie. Druga klasa powróciła do swoich kwater na lunch. Pasażerowie pierwszej pozostali na pokładzie spacerowym. Większość mężczyzn udała się do palarni na trunki w celu podniesienia się na duchu. Konsul wywiesił nazewnątrz safi jadalnej kartę, wzywającą pasażerów na zebranie. Prawie nikt się nie domyślił, jaki to miało cel, i o oznaczonej godzinie stawili się wszyscy jak jeden mąż. Panowało ogólne ożywienie, jakiego nie było od tygodnia. Paplano wesoło, i jedynie dobre wychowanie powstrzymywało wszystkich od zbyt jaskra-

wych objawów zadowolenia. Konsul z monoklem w oku oznajmił, że zwołał zebranie w celu przedyskutowania kwestji jutrzejszego balu. Wiedząc, że biedny pan Gallagher cieszył się ogólną sympatją, powziął zamiar posłania osierocoonej rodzinie zbiorowej depe-szy kondolencyjnej, ale po przejrzeniu papierów zmarłego okazało się, że nie miał on żadnej rodziny czy przyjaciół, z którymi możnaby się skomunikować. Pan Gallagher nie miał widocznie nikogo na świecie.

Wobec tego, on, konsul czuje się w obowiązku wyrazić wyrazy najszczerzego współczucia doktorowi, który z wszelką pewnością uczynił wszystko, co tylko leżało w jego mocy.

— Słuchajcie, słuchajcie — rzekli pasażerowie.

— Wszyscy przeżyli smutne dni — ciągnął konsul — i niektórym mogłoby się zdawać, że dla uczczenia pamięci nieboszczyka bal kostjumowy powinien być odłożony do Nowego Roku. Ja jednak jestem innego zdania, do którego z pewnością przychyliłby się sam pan Gallagher, gdyby go można o to zapytać. Naturalnie jest to kwestja, o której zadecyduje większość.

Doktor wstał i, podziękowawszy konsulowi i pasażerom za dobre słowo, oznajmił w imieniu kapitana, iż ten ostatni życzy sobie, aby wszystkie planowane na dzień Bożego Narodzenia uroczystości i zabawy odbyły się tak, jakby nic nie zaszło. On (doktor) powie im w zaufaniu, że kapitanowi nie podoba się posępny, chorobliwy nastrój, jaki zapanował na okręcie, i dlatego chce, aby się trochę rozerwali.

Wtedy wstała żona misjonarza jako rzeczniczka dzieci, dla których komitet zabawowy postanowił urządzić choinkę zaraz po obiedzie pasażerów pierwszej klasy. Dzieci cieszyły się bardzo, że zobaczą wszystkich w przebraniu. Nie trzeba myśleć tylko o sobie. Nie trzeba sprawiać zawodu malcom. Ona osobiście ma taki sam szacunek dla zmarłego, jak i inni, i sympatyzuje ze wszystkimi, którzy chcieliby wyrazić swoją żalobę powstrzymaniem się od zabawy, ale uważa, że samolubstwem byłoby dać się powodować uczuciom, z których nic nikomu nie przyjdzie. Trzeba pamiętać o dzieciach!

Słowa te zrobiły na pasażerach duże wrażenie. Chcieli zapomnieć o niesamowitej trwodze, która wisiała nad okrętem przez tyle, tyle dni... Żyli i pragnęli się cieszyć życiem, ale mieli nieprzyjemne uczucie, że powinni okazać jakiś żal. Inna rzecz, jeśli postąpią tak, jak sobie życzą, z altruistycznych pobudek. Kiedy konsul zażądał podniesienia rąk na znak zgody, przeciwko zabawie wypowiedziały się tylko pani Hamlyn i pewna starsza dama, niemogąca podnosić rąk z powodu reumatyzmu.

— „Tak“ mają przewagę — rzekł konsul. — Pozwolę sobie wyrazić zgromadzonym wyrazy uznania z powodu rozsądnej decyzji.

W chwili, gdy miano się już rozejść, wstał jeden z plantatorów z oznajmieniem, że ma coś do powiedzenia. Czy w danych okolicznościach nie byłoby wskazane zaprosić pasażerów drugiej klasy? Wszak

wszyscy byli na pogrzebie. Misjonarz zerwał się z miejsca i przyłączył się do wniosku.

— Wypadki ostatnich kilku dni zbliżyły nas wszystkich do siebie — rzekł. — A wobec śmierci wszyscy ludzie są równi.

Konsul zainteresował ponownie zgromadzonych. Sprawa ta była przedyskutowana na poprzednim zebraniu, przyczem postanowiono, że lepiej będzie, jeżeli pasażerowie drugiej klasy urządzą sobie oddzielną zabawę. Jednakże sytuacja uległa zmianie, i obecnie było wskazane zmienić również uprzednio powziętą decyzję.

— Słuchajcie, słuchajcie — rzekli pasażerowie.

Porwał ich demokratyczny nastrój, i decyzję zmieniono przez aklamację, poczem zgromadzenie rozszło się z lekkim sercem w poczuciu spełnionego obowiązku. W palarni pito i stawiano sobie nawzajem trunki.

Tak więc następnego wieczoru pani Hamlyn ubrała się w fantazyjny kostjum balowy. Nie było jej wesoło, i przez chwilę nosiła się z myślą udania choroby, ale wiedziała, że niktby jej nie uwierzył i że zostałaby posądzona o afektację.

Ucharakteryzowała się tedy na Carmen i nie potrafiła się oprzeć podszeptom próżności uczynienia się możliwie piękną. Uczerniła rzęsy i uróżowała policzki. W stroju Carmen było jej bardzo do twarzy. Kiedy na głos trąbki weszła do salonu, powitał ją szmer pochlebnego zdziwienia. Na widok konsula humorysty, przebranego za baletnicę, podniosła się

wrzawa śmiechów i krzyków. Misjonarz i jego żona, trochę skrepowani, ale zadowoleni z siebie, wystąpili okazale jako Mandżurowie. Pani Linsell w stroju kolumbiny ukazywała prześliczne nogi tak wysoko, jak to tylko było możliwe. Mąż jej był szeikiem arabskim, a doktor — sułtanem malajskim.

Złożono się przy obiedzie na szampana. Panował gwar i ogólna wesołość. Śmiano się i krzyczano. Do urozmaicenia zabawy przyczyniły się papierowe kapelusze najrozmaitszych kształtów, papierowe serpenty i baloniki, które unosiły się nad głowami rozbawionego towarzystwa. Nikt nie mógł zaprzeczyć, że bawiono się poprostu świetnie. Po obiedzie przeszli wszyscy do salonu, rozjaśnionego choinką. Weszły dzieci, krzycząc z radości. Obdarzono je upominkami, i zaczęły się tańce. Pasażerowie drugiej klasy ustawili się nieśmiało naokoło części pokładu, zarezerwowanej na tańce, i od czasu do czasu wstępowali w szranki, ale tylko między sobą.

-- Rad jestem — rzekł konsul, tańcząc z panią Hamlyn — żeśmy ich zaprosili. Jestem zwolennikiem demokratyzmu. Rozsądnie robią, że się trzymają swoim kółkiem oddzielnie.

Ona zauważyła, że Pryce nie jest obecny, i przy nadarzonej sposobności zapytała jednego z pasażerów drugiej klasy, co się z nim dzieje.

— Nie istnieje dla świata — odpowiedział zagadnięty. — Zaraz po południu zapakowaliśmy go do łóżka i zamknęliśmy w kajucie.

Konsul poprosił ją do tańca po raz drugi. Był

wesoły i bezustannie żartował. Nagle pani Hamlyn poczuła, że nie zniesie dłużej amatorskiej orkiestry, dowcipów konsula i ogólnej wesołości. Nie wiedziała sama, dlaczego rozbawienie tych ludzi, płynących wśród nocy przez puste obszary morza, napełniło ją nagle trwogą. Przetęńczywszy z konsulem, wysunęła się z koła hałaśliwego towarzystwa, tak, aby jej nikt nie zauważył, i weszła po schodkach na pomost z łodziami. Panowała tu najzupełniejsza ciemność. Przemknęła się cicho ku miejscu, gdzie, jak wiedziała, mogła być zabezpieczona przed natrętami. Ale nie! Usłyszała cichy śmiech. W ciemnym kącie siedziała kolombina z sułtanem malajskim. Pani Linsell i doktor wznowili flirt, przerwany śmiercią Gallaghera.

A więc wszyscy ci ludzie wyrzucili już z pamięci w jakiś dziwnie okrutny sposób tego biednego, samotnego człowieka, którego wyrwała zpośród nich tajemnicza ręka przeznaczeń. Nie czuli dla niego żadnego współczucia, raczej urazę, że z jego powodu doznali przykrych wrażeń. Uczepili się chciwie życia. Żartowali, plotkowali, flirtowali...

Pani Hamlyn przypomniała sobie to, co powiedział konsul, że między papierami Gallaghera nie znalaziono żadnych listów, żadnego nazwiska przyjaciela czy krewnego, któremu możnaby posłać zawiadomienie o śmierci. Nie wiedziała, dlaczego szczegół ten wydał jej się nie do zniesienia tragiczny. Było coś tajemniczego w człowieku, który potrafił przejść przez życie tak bardzo samotnie. Kiedy przypomniała sobie, jak niedawno wstąpił na pokład w Singapore,

zdrowy, silny, żywotny, pełen śmiałych planów na przyszłość, ogarnęło ją paniczne przerażenie. Fragment nabożeństwa żałobnego zadźwięczał jej echowo w uszach akcentem uroczystej grozy:

„Człowiek, urodzony z niewiasty, ma krótki dzień nędznego żywota. Wschodzi i ginie jako kwiat, ucieka jako cień i nigdy nie postanie w miejscu“.

— Z roku na rok układał biedak plany na przyszłość, chciał żyć tak bardzo, bardzo i tak dużo miał do przeżycia i właśnie, kiedy wyciągnął rękę po... och, jakież to tragiczne! Wszystkie inne nędze świata wydały jej się w porównaniu z tem małej wagi.

Śmierć ze swoją tajemnicą jest jedyną rzeczą, naprawdę ważną.

Pani Hamlyn przechyliła się przez barjerę i popatrzyła na usiane gwiazdami niebo. Dlaczego ludzie robią się sami nieszczęśliwymi? Niech płaczą nad ukochanymi, których im zabiera nieubłagana ręka śmierci — śmierć jest zawsze jednakowo okropna — ale co do reszty, to czyż warto się dręczyć, żywić urazy, być próżnym i niemiłosiernym?

Zaczęła znów rozmyślać o sobie, o mężu i o kobiecie, którą ten ostatni pokochał taką dziwną miłością. On też powiedział, że życie jest krótkie, szczęście rzadkie, a wieczność nieskończona. Rozmyślała długo i z natężeniem, i nagle niby błyskawica, rozdzierająca mroki nocy, umysł jej przeszła myśl, któ-

ra przyprawiła ją o dreszcz radosnego zdumienia. Zrozumiała, że w sercu jej wygasł zupełnie gniew na męża i zazdrość o rywalkę. Na dalekim horyzoncie świadomości zaświtało poczucie, które nakształt porannego słońca rozjaśniło jej duszę ciepłem, błogiem światłem. Tragedja śmierci nieznanego Irlandczyka dała jej siłę i odwagę do powzięcia rozpaczliwego postanowienia. Serce biło jej jak młotem z niecierpliwej chęci wprowadzenia go w czyn.

O, tak, zrobi ofiarę ze swego samolubstwa, o, tak! Muzyka przestała grać. Bał się skończył. Większość pasażerów poszła pewnie spać, a reszta siedzi w palarni. Idąc do swej kabiny, nie spotkała po drodze nikogo. Wydobyła przybory do pisania i wystosowała do męża następujący list:

„Najdroższy! Dzisiaj jest święto Bożego Narodzenia. Śpieszę donieść Ci, że serce moje jest wolne od gorzkich i wrogich uczuć względem Was obojga. Postąpiłam porywczo i niedorzecznie. Myślę, że powinniśmy pozwolić tym, których kochamy, cieszyć się szczęściem na ich sposób. Powinniśmy ich kochać na tyle, aby ich szczęście nie czyniło nas nieszczęśliwymi. Wiedz, że nie mam Ci ani trochę za złe tej radości, która tak dziwnie zawitała do Twojej duszy. Nie jestem zazdrosna, nie czuję się urażona. Nie żywię mściwych uczuć. Nie sądzę, że będę albo samotna, albo nieszczęśliwa. Jeżeli kiedy do mnie zatęsknisz, przyjmę Cię z radością bez urazy i bez wy-

mówek. Jestem Ci niewymownie wdzięczna za wszystkie lata szczęścia i miłości, jakie przeżyłam u Twego boku. Wzamian ofiarowuję Ci uczucie, które nie pragnie żadnej rekompensaty i jest — mam nadzieję — najzupełniej bezinteresowne. Wspominaj mnie życzliwie i bądź szczęśliwy, szczęśliwy, szczęśliwy..."

Podpisała się i wsunęła list do koperty. Chociaż wiedziała, że zostanie wysłany dopiero z Port Saidu, chciała, żeby się od razu znalazł w skrzynce pocztowej. Uczyniwszy to, zaczęła się rozbierać i w trakcie tej czynności spojrzała w lustro. Oczy jej błyszczały jak gwiazdy, a z pod rózu przebiły rumieńce. Beznadziejna przyszłość roziskrzyła się gwiazdami nadziei. Wślizgnęła się do łóżka i zasnęła mentalnie zdrowym snem bez marzeń i majaczeń.

Zdała do cywilizacji

Nowy pomocnik przybył po południu.

Rezydent, pan Warburton, usłyszawszy, że prahu nadpływa, włożył swój korek i zeszedł do przystani. Na jego widok warta, składająca się z ośmiu Dajaków, stanęła na baczność. Zauważył z zadowoleniem, że wyglądają bardzo bojowo, że czyste mundury leżą na nich jak ulane, a wyczyszczone karabiny błyszczą w słońcu. Miał się doprawdy czem pochwalić.

Stanąwszy na pomoście, skierował wzrok ku zakrętowi rzeki, z za którego lada chwila miała się ukazać łódź. W białym obuwiu i niepokalanem ubraniu wyglądał elegancko i dystyngowanie. Pod pachą trzymał laskę malajską ze złotą rączką, dar sułtana Peraku. Oczekiwał przybysza z mieszanymi uczuciami. Praca administracyjna w tym okręgu była nad siłę jednego człowieka. W czasie perjodycznych objazdów podlegających mu osiedli zmuszony był zostawać na miejscu w swoim zastępstwie urzędnika-tubylca. Jednakże tak długo był jedynym białym człowiekiem na cały ten wielki obszar, że przybycie dru-

giego obudziło w nim obawy i wątpliwości. Przyzwyczał się już do samotności. W czasie wojny nie widział angielskiej twarzy przez całe trzy lata. Raz, kiedy otrzymał instrukcje przyjęcia urzędnika z dozoru leśnego, ogarnęła go taka panika, że przygotował wszystko na jego zakwaterowanie, napisał list z usprawiedliwieniem, że ma do załatwienia ważne sprawy w głębi kraju, i uciekł. Powrócił dopiero po odjeździe gościa.

Na zakręcie ukazała się prahu, obsadzona przez więźniów dajackich, skazanych na różnoterminowe kary. Na platformie czekali dozorczy, aby ich odprowadzić do więzienia. Więźniowie byli to krzepcy ludzie, obeznani z rzeką i przyzwyczajeni do wiosel. W chwili, gdy łódź dobiła do brzegu, z pod namiotu wyszedł biały człowiek i wyskoczył na pomost. Warta sprezentowała broń.

— No, nareszcie. Na Boga, cały zdrętwiałem. Żeby tak dłużej, toby mnie djabli wzięli. Przywiozłem panu pocztę.

Mówił tonem hałaśliwie jowjalnym. Warburton wyciągnął grzecznie rękę.

— Mam przyjemność z panem Cooperem?

— Tak jest. Czy spodziewał się pan kogo innego?

Pytanie miało sens żartobliwy, ale rezydent bynajmniej się nie uśmiechnął.

— Nazywam się Warburton. Zaprowadzę pana na kwaterę. Rzeczy przyniosą za nami.

Ruszył przodem wąską ścieżką, wiodąc za sobą

Coopera. Weszli do ogrodzenia, pośrodku którego wznosił się mały bungalow.

— Doprowadziłem to do możliwie mieszkalnego stanu. Przez długie lata nikt tu nie zaglądał.

Bungalow stał na słupach i składał się z dużego, długiego pokoju, wychodzącego na szeroką werandę, i z dwóch sypialni, leżących po obu stronach korytarza.

— Podoba mi się tutaj — rzekł Cooper.

— Pewnieby się pan chciał wykąpać i przebrać. Byłbym bardzo rad, gdybym pana mógł mieć dzisiaj u siebie na obiedzie. Czy będzie pan gotów na ósmą? Zastosuję się do pana.

— Wszystko mi jedno. Jak pan chce.

Rezydent uśmiechnął się grzecznie i lekko zmieszany opuścił pokój. Powrócił do fortu, gdzie mieściły się jego apartamenta. Wrażenie, jakie na nim zrobił Allen Cooper, nie było dodatnie, ale miał poczucie sprawiedliwości i wiedział, że nie należy sądzić ludzi z pierwszego wejrzenia.

Cooper wyglądał na mniej więcej trzydzieści lat, był wysoki i chudy i miał ziemistą cerę, nieożywioną nawet cieniem rumieńca. Cała twarz była w jednym tonie. Całości dopełniał duży, haczykowaty nos i brązowe oczy. Wchodząc do bungalowu, zdjął kork i rzucił służącemu. Warburton zrobił spostrzeżenie, że wielka głowa, pokryta krótko przystrzyżonymi ciemnymi włosami, stanowi dziwny kontrast z małą, n kłą brodą.

Strój nowoprzybyłego składał się z krótkich spod-

ni i koszuli koloru khaki, brudnych i obszarpanych. Zniszczony korek nie był czyszczony przez wiele dni. Warburton pomyślał usprawiedliwiająco, że przecież młody człowiek przepędził tydzień na parowcu nadbrzeżnym, a ostatnie dwie doby przeleżał na dnies prahu.

— Zobaczymy, jak się zaprezentuje przy obiedzie.

Wszedł do swego pokoju, gdzie panował taki porządek, jakby miał angielskiego lokaja, rozebrał się i, zeszedłszy nadół do łazienki, wziął zimny prysznic. Jedynem ustępstwem, jakie wymógł na nim klimat, był biały żakiet. Poza tem ubierał się zawsze do obiadu tak formalnie, jakby uczęszczał jeszcze do swego klubu na Pall Mall, nie pomijając ani sztywnej koszuli, ani wysokiego kołnierzyka, ani jedwabnych skarpetek, ani lakierków. Jako troskliwy gospodarz poszedł do jadalni zobaczyć, czy stół jest nakryty jak należy. Wśród lasu orchidei błyszcząły srebra. Obok nakryć leżały wyszukanie poskładane serwetki. Ocieplone świece w srebrnych lichtarzach zalewały obrus łagodnem światłem. Warburton uśmiechnął się z zadowolaniem i powrócił do salonu.

Niebawem zjawił się Cooper w tych samych spodniach i koszuli koloru khaki oraz podartej kurtce, w jakich przybył. Uśmiech zamarł na twarzy Warburtona.

— Hallo, aleś się pan wysztafirował — rzekł gość. — Nie wiedziałem, że pan tak trzyma fason. Mało brakowało, żebym nie przyszedł w sarongu.

— To drobnostka. Pewnie pańscy chłopcy byli zajęci.

— Nie potrzebował się pan tak stroić z mojego powodu.

— Myli się pan. Ja zawsze ubieram się do obiadu.

— Nawet, jak pan jest sam?

— Zwłaszcza, kiedy jestem sam — odpowiedział Warburton z zimnym błyskiem w oku.

Zauważył, że przez usta Coopera przemknął dyskretny uśmiech, i w sercu jego zawrzał gniew. Warburton był człowiekiem gwałtownego usposobienia. Wskazywała na to czerwona twarz o wojowniczym wyrazie; rude włosy, lekko przypruszone siwizną i niebieskie oczy, chłodne zazwyczaj i badawcze, ale zdolne sypać iskrami nagłego gniewu. Jednakże był człowiekiem światowym i starał się być zawsze sprawiedliwy. Postanowił zrobić wszystko, co tylko będzie w jego mocy, aby z tym człowiekiem stanąć na możliwie przyjacielskiej stopie.

— Kiedy mieszkałem w Londynie, obracałem się w kołach ludzi, dla których taką samą ekscentrycznością byłoby nie ubrać się do obiadu, jak nie wykąpać się przy rannej toalecie... Nie było żadnej racji, abym poniechał tego przyzwyczajenia, przyjechawszy na Borneo. Przez trzy lata w czasie wojny nie widziałem ani jednego białego człowieka, pomimo to nie zaniedbałem ani razu ubrać się do obiadu, chyba, że byłem niezdrów i leżałem. Pan niedługo przebywał w tym kraju. Proszę mi wierzyć, że niema lepszego

sposobu na podtrzymanie w sobie dumy. Jeżeli biały człowiek podda się choć trochę wpływowi otoczenia, wślad za tem pójdzie utrata szacunku dla samego siebie. Straciwszy zaś poczucie własnej godności, traci się wprędce prestige wśród krajowców.

— Nie łudź się pan, że dam się namówić na sztywną koszulę i na sztywny kołnierzyk w tym piekielnym upale. Oho!

— Obiadując w swoim bungalowu, może się pan ubierać, jak się panu podoba, ale jeżeli mi pan robi zaszczyt przyjęcia mego zaproszenia, to jednak należałoby się zastosować do zwyczajów, przyjętych w cywilizowanych społeczeństwach.

Weszli dwaj malajscy chłopcy w sarongach i eleganckich białych kurtkach z mosiężnymi guzikami. Jeden niósł karafkę dzynu, a drugi tacę z oliwkami. Rezydent z pomocnikiem zasiedli do obiadu. Warburton chwalił się, że ma wspaniałego kucharza, Chińczyka z Borneo, i starał się utrzymywać swoją kuchnię na tak wybrednym poziomie, jak to tylko było możliwe w danych trudnych okolicznościach. W wyzyskiwaniu dostępnych artykułów żywności okazywał dużą pomysłowość.

— Może pan przejrzy menu? — rzekł, wręczając je Cooperowi.

Menu było zredagowane po francusku, i potrawy miały szumne nazwy. Do stołu usługiwali dwaj chłopcy. W przeciwległych rogach pokoju siedzieli dwaj inni i, poruszając ogromnemi wachlarzami, chłodzili

duszną atmosferę. Jedzenie było wystawne, a szampan wspaniały.

— Pan się codzień tak raczy? — zapytał Cooper.

Rezydent spojrzał niedbale na menu.

— Nie zauważyłem, żeby dzisiejszy obiad różnił się czemkolwiek od poprzednich — rzekł. — Jadam bardzo mało, ale kładę nacisk na to, żeby obiad był zawsze podany, jak należy. Kucharz nie wychodzi przez to z wprawy, a chłopcy mają dyscyplinę.

Rozmowa rwała się i kuląła. Warburton był wyszukanie ugrzeczniejszy i, być może, znajdował zlekka złośliwe zadowolenie w zakłopotaniu, w jakie tym sposobem wprowadzał towarzysza. Cooper bawił w Sembulu zaledwie kilka miesięcy i niewiele miał do powiedzenia swemu szefowi o jego znajomych w Kuala Solor.

— A propos — zagadnął gospodarz nie spotkał pan przypadkiem młodego chłopca, nazwiskiem Hennerley? Świeżo skończył szkoły.

— Owszem. Służy w policji. Skończony urwi-połek.

— Zdaje mi się, że to trochę za mocne określenie. Jego wuj, lord Barraclough, jest moim przyjacielem. Świeżo właśnie dostałem list od lady Barraclough z prośbą o dawanie oka na młodego człowieka.

— Słyszałem, że jest spokrewniony z jakąś figurą, i sędzę, że dlatego dostał to stanowisko. Skończył Eton i Oxford. Chwali się tem przed wszystkimi z obawy, żeby się kto nie omylił.

— Zdumiewa mnie pan — rzekł Warburton. — Rodzina jego kształci się w Eton i w Oxfordzie od paruset lat. Sądziłbym, że powinien to uważać za rzecz, rozumiejącą się samo przez się.

— Obrzydliwy zarozumialec!

— A pan do jakiej szkoły uczęszczał?

— Urodziłem się na Barbadoes i tam pobierałem nauki.

— Aha!

Rezydent wypowiedział ten wyraz tonem, tak dalece obraźliwym, że Cooper oblał się rumieńcem.

Przez chwilę panowało milczenie.

— Odebrałem kilka listów z Kuala Solor — ciągnął gospodarz — i odniosłem wrażenie, że młody Hennerley ogólnie się podobał. Mówią, że to pierwszorzędny sportsman.

— O, tak, bardzo popularny. W Kuala Solor lubią takich facetów. Ja osobiście nie zachwycam się zbyt wiele pierwszymi sportsmanami. Na co się to ostatecznie przyda, że człowiek gra w golfa lub w tenisa lepiej niż inni? I kogo to obchodzi, że bije wszystkich przy bilardzie? W Anglii przywiązują do tego rodzaju rzeczy zbyt wielką wagę. Czysty obłąd!

— Tak pan sądzi? Mam wrażenie, że ten pierwszorzędny sportsman popisał się na wojnie tak samo dobrze, jak i inni.

— O, jeżeli pan zahacza o wojnę, to już ja wiem, co mówię. Służyłem w tym samym pułku, co i Hennerley, i powiem panu, że ludzie go nie znosili.

— Skąd pan wie?

— Bo ja byłem jednym z nich.

— O, więc pan nie był oficerem

— Nie miałem żadnych szans. Pochodziłem z kolonij. Nie kończyłem modnej szkoły i nie miałem żadnych stosunków. Przez cały czas byłem szeregowcem, psiakrew!

Zmarszczył czoło. Widać było, że panuje nad sobą, aby nie wybuchnąć stekiem wymysłów.

Warburton obserwował go, mrużąc małe niebieskie oczy, i starał się zgadnąć, co by to był za człowiek. Zmieniwszy przedmiot rozmowy, przeszedł na temat funkcji Coopera. Z uderzeniem dziesiątej wstał od stołu.

— Nie będę pana dłużej zatrzymywał. Musi pan być znużony podróżą.

Podali sobie ręce.

— Słuchaj pan — rzekł gość — mam kłopot z chłopcem. Nie mógłbyś mi pan jakiego poszukać? Przy wyjeździe z Kuala Solor tamten mi się gdzieś zawieruszył. Przyniósł mi bagaże na pokład i drapał. Dopiero na rzece zauważyłem, że go niema.

— Zapytam mego służącego. Z pewnością kogoś znajdzie.

— Dziękuję. Powiedz mu pan, żeby mi przysłał ewentualnego kandydata. Jeżeli mi przypadnie do gustu, to go wezmę.

Świecił księżyc, tak, że nie potrzeba było brać latarni. Cooper opuścił fort i udał się do swego bungalowu.

— Dziwi się, że przysłali mi taki okaz — du-

mał rezydent. — Jeżeli zaczną teraz dobrać tego rodzaju ludzi, no, to niema co mówić!

Zeszedł do ogrodu.

Fort znajdował się na wierzchołku niewielkiego pagórka. Ogród schodził na sam skraj rzeki, nad którą stała altana. W jej zaciszu Warburton zwykł był wypalać poobiednie cygaro.

Często z płynącej poniżej rzeki dawał się słyszeć głos jakiegoś Malajczyka, zbyt nieśmiałego, aby zainterpelować białego dygnitarza w biały dzień. Do uszu Warburtona dochodziły tym sposobem zażalenia, skargi, informacje i pożyteczne wskazówki, jakich w innym razie nigdyby nie usłyszał. Rzucił się ciężko na długi trzciniowy fotel.

Cooper! *Wspomnienie Miejska w Terunie*

Człowiek zazdrosny, źle wychowany, zarozumiały, arogancki i próżny!

Jednakże irytacja Warburtona prędko ustąpiła przed mocarnym urokiem cichej, przepięknej nocy. Powietrze było przepojone słodkim zapachem kwitnącego drzewa, rosnącego u wejścia do altany. Naokoło unosiły się fosforyczne owady, przecinające mrok srebrzystymi smugami. Księżyc słał na szerokiej rzece ścieżkę dla narzeczonej Sziwy. Po drugiej stronie majaczył delikatnie na tle nieba rząd palm. Do duszy rezydenta zakradł się wielki spokój.

Dziwny to był człowiek i dziwna jego karjera. W wieku lat dwudziestu jeden odziedziczył duży majątek — sto tysięcy funtów — i, wyszedłszy z Oxfordu, rzucił się w wir wesołego życia, jakie w owych

czasach (obecnie miał lat pięćdziesiąt cztery) dostępne było dla młodego człowieka z dobrej rodziny. Miał mieszkanie na Mount Street i własny pojazd. Polowanie w Warwickshire. Bywał wszędzie, gdzie uczęszczały wyższe sfery. Był przystojny, wesoły, rozmowny i hojny. W towarzystwie londyńskim w ostatnim dziesiątku zeszłego wieku uchodził za figurę, a towarzystwo owo nie straciło jeszcze wtedy ani swojej wyłączności, ani świetności. Wojny Burckiej, która wstrząsnęła jego posiadaniami, nikt nie potraktował poważnie. Wielką Wojnę, która je zniweczyła, przepowiadali jedynie najgorsi pesymiści.

Miło było w owych czasach być bogatym młodym człowiekiem. Warburton płał się w zaproszeniach na przyjęcia, bale, polowania itp. uroczystości. Rozkoszował się niemi, jako że był snobem. Nie nieśmiałym snobem, trochę zawstydzonym, że mu imponują moiżni tego świata, nie snobem, który narzuca się ludziom, cieszącym się rozgłosem czy to w polityce, czy też w królestwie sztuki, nie snobem, którego olśniewają bogactwa, ale zwyczajnym, prymitywnym snobem, zakochanym w lordach. Odznaczał się drażliwością i porywcznością, ale wolał być zlekceważony przez arystokratę niż usłyszeć pochlebstwo z ust prostaka. Nazwisko jego figurowało skromnie w Peerage Burke'go, i trzeba było słyszeć, z jakim cudownem odniechcenią wspominał o dalekiem pokrewieństwie, łączącym go z głośnym rodem. Zato nie wspominał nigdy ani słowem o uczciwym fabrykancie z Liverpoolu, po którym przez swą matkę, niejaką pannę

Gubbins, odziedziczył majątek. Żył w ciągłej grozie, że może kiedy w trakcie pobytu w Cowes lub Ascot przyzna się do niego któryś krewny z tamtej strony i skompromituje go wobec jakiej księżnej albo nawet księcia krwi.

Ta słabostka była zbyt widoczna, aby mogła ująć ogólnej spostrzegawczości, i jeżeli nie zasługiwała na wzgardę, to tylko dlatego, że była prawdziwym szaleństwem. Wysmiewali go wielcy, których uwielbiał, uważając jednak w głębi duszy, że uwielbienie to ma swoje podstawy.

Biedny Warburton był, ma się rozumieć, okropnym snobem, ale jednocześnie dobrym chłopcem. Zawsze był gotów zapłacić rachunek za gołego arystokratę i w razie wielkiej opresji każdy jego bożek mógł bezpiecznie liczyć na to, że mu pożyczycy sto funtów. Dawał dobre obiady. Grał źle w wista, lecz nic sobie nie robił z przegranych, o ile kompanja była doborowa. Nie umiał grać, zato umiał przegrywać. Nie sposób było nie podziwiać flegmy, z jaką przegrywał pięćset funtów na jednym posiedzeniu. Pasja do kart, prawie tak samo silna, jak pasja do tytułów, stała się powodem jego zguby. Życie, jakie prowadził, było bardzo ekspensowne, a na hazard tracił ogromne sumy. Zaczął grać najprzód w totalizatora, a potem na giełdzie. Charakteryzowała go pewna naiwność, co sprawiło, że stał się łupem oszustów. Niewiadomo, czy zdawał sobie sprawę, że wytworni przyjaciele wysmiewają go za jego plecami, to tylko można powiedzieć, że jakiś mętny instynkt nakazywał mu nie

liczyć się z pieniędzmi ze względu na otoczen . Do-
stał się w ręce lichwiarzy i mając lat trzydzieści czte-
ry stracił cały majątek.

Za bardzo był przejęty duchem klasy, aby wahać
się w wyborze następnego kroku. Zrzucony czło-
wiek z jego sfery wynosił się zazwyczaj do kolonij.
Nikt nie usłyszał od Warburtona jednego słowa skar-
gi. Nie okazał żalu wysoko urodzonemu przyjacielo-
wi, który go namówił na katastrofalną spekulację, nie
nalegał o oddanie porożpżyczanych pieniędzy, popła-
cił swoje długi (nie wiedząc, że w ten sposób zdradza
się z kroplą krwi, przekazaną mu przez pogardzanego
fabrykanta), nie zwrócił się do nikogo o pomoc i, choć
nigdy w życiu nie pracował, rozejrzał się za pracą,
któraby mu dała utrzymanie. Pozostał tak samo po-
godny, beztroski i pełen humoru, jak zawsze. Nie
pragnął wprawiać ludzi w zakłopotanie opowiadania-
mi o swoich niepowodzeniach.

Warburton był snobem, to prawda, ale był jed-
nocześnie dżentelmanem.

Jedyną łaską, jakiej zażądał od jednego z wiel-
kich przyjaciół, w których kole przebywał przez tyle
lat, była prośba o rekomendację. Wybitny człowiek,
który był wtedy sułtanem Sembulu, wziął go na służ-
bę. Ostatni obiad przed odjazdem zjadł w swoim klu-
bie.

— Słyszę, że wyjeżdżasz, Warburton — rzekł
doń stary książę Hereford.

— Tak. Na Borneo.

— Na Boga, poco ty tam jedziesz?

— Jestem bankrutem.

— Doprawdy? Szczerze mi cię żal. Zawiadom nas o swoim powrocie. Mam nadzieję, że będzie ci tam dobrze.

— O, naturalnie. Masa zwierzyny, wspaniałe polowania.

Księżę skinął głową i odszedł. W kilka godzin później Warburton patrzył na zasuważące się w mgłę oddalenia wybrzeża Anglii. Pozostawił za sobą wszystko, co było zasadniczą treścią jego życia.

Od tego czasu upłynęło dwadzieścia lat. Prowadził pilnie korespondencję z wielkimi damami, i listy jego były interesujące i dowcipne. Nie stracił uwielbienia dla utytułowanych osób. Studjował uważnie kronikę towarzyską w *The Times* (który dochodził go w sześć tygodni po wyjściu), dowiadując się o ich przyjazdach i odjazdach, urodzinach, śmierciach i małżeństwach, co pociągało za sobą wysyłanie powinszowań względnie kondolencji. Ilustrowane pisma pokazywały mu, jak kto wyglądał. W czasie periodycznych bytności w Anglii podejmował nić dawnego życia, tak, jakby nigdy nie została zerwana. Wiedział o wszystkich nowych osobach, jakie pojawiały się na horyzoncie towarzyskiego życia Anglii. Interesował się wyższym światem tak samo żywo, jak wtedy, kiedy sam do niego należał. W dalszym ciągu wydawało mu się to wszystko jedyną rzeczą, dla której warto było żyć.

Jednakże z biegiem czasu życie jego zyskało nowe zainteresowanie. Stanowisko, jakie zajmował, po-

chlebiało jego próżności. Przestał być sykofantem, spragnionym uśmiechów wielkich osobistości. Był teraz panem, i słowo jego miało moc prawa. Cieszyła go warta, złożona z Dajaków, która, kiedy przechodził, prezentowała broń. Lubił sędzić swoich bliźnich. Lubił łagodzić spory między rywalizującymi naczelnikami plemion. Krwawe zamieszki, które tłumił za dawnych dni, napełniały go poczuciem wielkiej dumy. Był nieustraszenie odważny li tylko przez próżność. Krążyła wieść o tem, jak z zimną krwią wkroczył w pojedynkę do otoczonej palisadą wioski i zażądał wydania krwawego pirata. Miał wielkie zdolności administracyjne. Był obowiązkowy, sprawiedliwy i uczciwy.

I powoli, stopniowo pokochał Malajczyków. Interesowały go ich zwyczaje i obyczaje. Mógł słuchać całemi godzinami ich opowiadań. Podziwiał ich cnoty, występki zaś zbywał uśmiechem i wzruszeniem ramion.

— Swojego czasu — mawiał — byłem w przyjacielskich stosunkach z największymi dżentelmanami Anglii, ale nigdy nie spotkałem wytworniejszych dżentelmanów niż niektórzy dobrze urodzeni Malajczycy. Dumny jestem, że mogę ich nazywać swoimi przyjaciółmi.

Zachwycał się ich kurtuazją, dystynkcją w obęściu, łagodnością i porywcznością. Wiedział instynktownie, jak ich traktować. Żywił dla nich prawdziwe przywiązanie. Nigdy jednak nie zapominał o tem, że jest angielskim dżentelmanem i potępiał białych,

przejmujących zwyczaje krajowców. Sam pozostał odporny i nieugięty.

Nie poszedł też w ślady tych licznych białych kolegów, którzy żyli z Malajkami, gdyż postępowanie tego rodzaju, jakkolwiek uświęcone przez zwyczaj, wydawało mu się rażące, gorszące i poniżające. Trudno było przypuścić, aby człowiek, którego Albert Edward, książę Walji, nazywał po imieniu, mógł mieć co wspólnego z tubylcami.

Za każdym powrotem z Anglii na Borneo doznawał niejako uczucia ulgi. Jego przyjaciele zestarzelili się tak samo, jak on, a nowa generacja traktowała go jako starego nudziarza. Miał wrażenie, że Anglja współczesna utraciła dużo ze swego uroku z czasów jego młodości. Ale Borneo pozostało takie samo i stało się teraz jego ojczyzną. Zamierzał pozostać w służbie tak długo, jak to tylko będzie możliwe, i w sercu jego tała się nadzieja, że umrze przed pójściem na emeryturę. W testamencie wyraził życzenie, aby go pochowano w Sembulu (gdziekolwiekby umarł) wśród ukochanego ludu, niedaleko od cicho szumiącej rzeki.

Wszelako wszystkie te marzenia i uczucia krył głęboko przed okiem ludzkim, i nikt, patrząc na tego ruchliwego, tęgiego, dobrze zbudowanego człowieka z gładko wygoloną, zdrową twarzą i siwiejącymi włosami, nie domyśliłby się, że zdolny on jest do tak głębokiego sentymentu.

Wiedział, jakim trybem powinna się odbywać praca na stacji, i przez kilka następnych dni obserwował

podejrzliwie swego pomocnika. Wprędce doszedł do przekonania, że młody człowiek jest obowiązkowy i kompetentny. Jedyłą jego wadą było surowe odnośnienie się do Malajczyków.

— Malajczycy są nieśmiali i wrażliwi — rzekł do niego Warburton. — Przekona się pan, że najlepiej się z nimi wychodzi grzecznością, cierpliwością i łagodnością.

Cooper zaśmiał się krótko i zgrzytliwie.

— Urodziłem się na Barbadoes i byłem na wojnie w Afryce. Nie sędzę, żeby kto znał murzynów lepiej ode mnie.

— Ja ich nie znam — odparł sucho Warburton. — Ale nie mówimy o murzynach, tylko o Malajczykach.

— A czy to nie murzyni?

— Jaki z pana ignorant — rzekł rezydent.

I na tem się urwało.

W pierwszą niedzielę po przyjeździe Coopera zaprosił go znów na obiad. Uczynił to z wielkimi ceremonjami i, chociaż widział się z nim poprzedniego dnia w biurze, a później o szóstej pili dżin i gorzkie nalewki na werandzie fortu, to jednak posłał do jego bungalowu chłopca z uprzejmym bilecikiem.

Cooper, jakkolwiek z niechęcią, stawił się w wieczorowym ubraniu. Warburton, zadowolony, że jego życzeniu stało się zadość, zauważył z pogardą, że ubranie młodego człowieka ma fatalny krój, a koszula wygląda tak, jakby była za obszerna. Ale rezydent był tego dnia w dobrym humorze.

— A propos — rzekł, podając mu rękę. — Mówiłem memu starszemu służącemu, żeby panu wyszukał jakiegoś chłopca. Poleca swego siostrzeńca. Widziałem go. Robi wrażenie rozgarniętego i ruchliwego chłopca. Może go pan chce zobaczyć, dobrze?

— Owszem.

— Właśnie czeka.

Warburton zawołał służącego i kazał mu przyprowadzić siostrzeńca. Za chwilę ukazał się wysoki, smukły młodzieniec lat dwudziestu, o wielkich czarnych oczach i ładnym profilu. Wyglądał czysto i schludnie i miał na sobie sarong, biały kaftan i fez ze śliwkowego aksamitu bez chwastu. Na imię mu było Abas. Warburton przyjrzał mu się z uznaniem i zaczął z nim rozmawiać z wielką łagodnością płynną rodowitą malajszczyzną. O ile bowiem do białych odnosił się często sarkastycznie, o tyle w stosunkach z Malajczykami bywał pobłażliwy i uprzejmy. Grał rolę sułtana. Wiedział doskonale, jak zachować swoją własną godność, a jednocześnie nie wprawiać ich w zakłopotanie.

— Podoba się panu? — zapytał, zwracając się do swego pomocnika.

— Owszem, chociaż pewnie taki sam łajdak, jak oni wszyscy.

Rezydent powiedział chłopcu, że jest przyjęty, i odprawił go łaskawym gestem.

— Ma pan szczęście, że trafił się panu taki kandydat — rzekł. — Należy do bardzo dobrej rodziny, która przybyła z Malakki prawie przed stu laty.

— Nie zależy mi na tem, czy chłopak, który mi czyści buty i wypełnia moje rozkazy, ma w żyłach błękitną krew, czy też nie. Żądam od niego tylko tyle, żeby mnie słuchał i gracko się związał.

Warburton zaciął usta i nie odpowiedział.

Zasiedli do obiadu. Jedzenie było wspaniałe, a wina znakomite. Dzięki nim niebawem dwaj biali rozmawiali ze sobą nietylko nie cierpko, ale nawet przyjacielsko. Warburton lubił sobie dogadzać, w niedzielę zaś miał zwyczaj jadać jeszcze lepiej niż w ciągu tygodnia.

Zaczął mu się zdawać, że okazał się względem Coopera niesprawiedliwy. Naturalnie chłopak nie jest dżentelmanem, ale to nie jego wina i może przy bliższem poznaniu okaże się wyśmienitym materiałem. Może też jego wady są tylko wadami sposobu bycia. Jako urzędnik jest pracowity, sprawny, sumienny i obowiązkowy.

Przy deserze Warburton poczuł, że w piersiach wzbiera mu fala przyjaznych uczuć względem całej ludzkości.

— To pierwsza pańska niedziela tutaj. Uczymy ją szklaneczką wyborowego portweinu. Zostały mi tylko dwa tuziny butelek, które zachowuję na specjalne okazje.

Wydał chłopcu polecenie, i niebawem na stole znalazła się jedna z cennych butelek. Warburton przyglądał się, jak ją otwierano.

— Dostałem ten portwein od mego starego przyjaciela, Karola Hollingtona. Miał go przez czterdzie-

ści lat, a ja otrzymałem go już przed wielu laty. Jego piwnica uchodziła za najlepszą w całej Anglii.

— Czy to był handlarz win?

— Niezupełnie — uśmiechnął się Warburton. — Mówiłem o lordzie Hollingtonie z Castle Reagh, jednym z najbogatszych parów Anglii. Mój stary, dawny przyjaciel. Byłem w Eton z jego bratem.

Nadarzała się okazja, jakiej Warburton nigdy się nie potrafił oprzeć. Opowiedział przeto anegdotkę, której jedyny sens zdawał się polegać na tem, że znał lorda. Portwein był wspaniały: wypił jedną szklaneczkę, potem drugą. Stracił poczucie miary. Od wielu miesięcy nie rozmawiał z białym człowiekiem. Zaczął opowiadać to i owo, przedstawiając siebie samego w gronie wielkich. Słyszac go, tak rozprawiającego, mogłoby się zdawać, że niegdyś parę jego słów, szepniętych w ucho księżnej lub wypowiedzianych niedbale przy obiedzie, wystarczało, aby upadł gabinet lub uległ zmianie kierunek polityki zagranicznej. Ożyły w nim czasy Ascot, Goodwood i Cowes. Jeszcze jedna szklaneczka! Co rok jeździł na wielkie przyjęcia do Yorkshire i Szkocji.

— Miałem wtedy lokaja, nazwiskiem Foreman, najlepszego, jakiego wogóle miałem. Nigdyby się pan nie domyślił, dlaczego mi ten człowiek wypowiedział służbę. Wie pan, że w jadalniach dla służby pokojówki i lokaje zasiadają do stołu w porządku, odpowiadającym tytułom ich panów. Otóż on mi powiedział, że znudziło mu się jeździć do domów, w których występowałem jako jedyny gość bez tytułu. Zna-

czyło to, że zawsze zasiadał na szarym końcu stołu i że półmiski dochodziły do niego, opróżnione z najlepszych kasek. Opowiedziałem o tem staremu księciu Herefordowi. Ryczał ze śmiechu.

— Na Boga — rzekł — gdybym był królem, mianowałbym cię wicehrabią, żeby dać szansę twojemu lokajowi.

— Weź go, księżę, sam — odparłem. — Nigdy w życiu nie miałem lepszego lokaja.

— Dobrze, Warburton — on mi na to — jeżeli jest dobry dla ciebie, to będzie dobry i dla mnie. Przyślij mi go zaraz.

Przyszła kolej na Monte Carlo, gdzie Warburton, grając do spółki z wielkim księciem Fiedorem, rozbił bank. A potem na Marienbad. W Marienbadzie Warburton grał w bakarata z Edwardem VII.

— Naturalnie był jeszcze wtedy księciem Walji. Pamiętam, jak raz do mnie powiedział:

— Słuchaj, Jerzy, jeżeli będziesz grał w ten sposób, to zgrasz się do nitki.

Miał słuszność. Nie sądzę, żeby kiedy w życiu powiedział co roztropniejszego. Co to był za człowiek! Zawsze mówiłem, że nie było w Europie większego dyplomaty. Ale w owych czasach byłem młody i głupi i nie zastosowałem się do mądrej rady. Gdyby nie to, pewniebyśmy się tutaj nie spotkali.

Cooper obserwował uważnie podnieconego zwierchnika. Jego brązowe oczy, osadzone głęboko w czaszce, patrzyły twardo i zuchwale, a usta wykrzywiały drwiący uśmieszek. W Kuala Solor opo-

wiadano mu dużo o Warburtonie. Niezły chłop — mówiono — administruje swoim okręgiem, jak nie można lepiej, ale, Boże! Co za snob, co za snob! Wyśmiewano go dobrodusznie, bo niesposób było nie lubić człowieka, tak wspaniałomyślnego i dobrego. Cooper słyszał już historyjkę o księciu Walji i partji bakarata. Zwierzeniom rezydenta przysłuchiwał się bynajmniej nie pobłaźliwie. Od samego początku poczuł doń urazę za to, jak go tamten traktował. Był bardzo wrażliwy i wił się pod grzecznymi sarkazmami Warburtona, który miał zwyczaj reagować na uwagi, jakie mu się nie podobały, druzgoczącem milczeniem. Cooper mało znał Anglję i miał szczególną antypatję do Anglików. Nadewszystko zaś nie znosił ludzi z wyższych sfer towarzyskich, obawiając się ich aroganckiego traktowania. Tak bardzo lękał się, że inni będą się doń odnosić zgóry, że w celu zapewnienia sobie przewagi, przybierał z miejsca ton nieznośnej zarozumiałości.

— W każdym razie — rzekł — wojna zrobiła jedną dobrą rzecz. Położyła koniec potędze arystokracji. Zaczęło się z wojną Burską, a skończyło z rokiem 1914.

— Wielkie rody angielskie są skazane na zagładę — zauważył Warburton z grzeczną melancholją émigré, pamiętającego dwór Ludwika XV. — Nie mogą sobie pozwolić, żeby mieszkać we wspaniałych pałacach, tak, jak dawniej, i ich książęca gościnność przejdzie niebawem do historii.

— Niech im ziemia lekką będzie!

— Mój drogi panie, co pan możesz wiedzieć o chwale Grecji i świetności Rzymu?

Warburton wykonał ręką szeroki gest. Oczy zamigły mu się na chwilę wizją niepowrotnej przeszłości.

— Ech, banialuki! Mamy po uszy tego dobrego. Potrzeba nam przede wszystkim fachowego rządu, składającego się z fachowych ludzi. Urodziłem się na Barbadoes i faktycznie całe życie przeżyłem w kolonjach. Lord niewart jest dla mnie funta kłaków. Najgorsza wada Anglii to snobizm. Nic mi tak nie działa na nerwy, jak snoby!

Snobizm! Snoby!

Twarz rezydenta oblała się purpurą krwi, a oczy zamigotały mu strasznym gniewem. Słowo to prześladowało go całe życie. Wielkie damy, którym asystował w młodości, ceniły do pewnego stopnia jego hołdy, ale i wielkie damy niezawsze są w dobrym humorze, to też biedny Warburton nieraz musiał przełknąć okropny epitet. Wiedział, bo nie mógł tego nie wiedzieć, że istnieją wstrętne kreatury, które go nazywają snobem. Jakież to było niesprawiedliwe! Przecież dla niego samego nie było gorszego występku nad snobizm. Ostatecznie gustował w towarzystwie ludzi swojej sfery i naprawdę dobrze czuł się tylko wśród nich. Jakim sposobem można to było nazwać snobizmem. Natura ciągnie wilka do lasu.

— Zgadzam się z panem — odpowiedział. — Snob jest to człowiek, który podziwiał kogoś drugiego lub nim gardzi tylko dlatego, że ten ktoś należy do wyż-

szej sfery towarzyskiej niż jego własna. Jest to najwulgarniejsza wada średnich klas społeczeństwa angielskiego.

Zauważył, że w oczach Coopera zamigotała wesoła iskierka. Młody człowiek podniósł rękę, aby zasłonić usta, które rozszerzyły się w uśmiechu, i w ten sposób zwrócił na siebie uwagę.

Warburtonowi zdrząły ręce.

Prawdopodobnie Cooper nie zdał sobie sprawy, jak bardzo obraził swego szefa. Przy swojej osobistej drażliwości był dziwnie niewrażliwy na uczucia innych.

Zajęcia urzędowe zmuszały ich do ciągłych spotkań, zaś pod wieczór o szóstej dzień w dzień schodzili się na kieliszek na werandzie Warburtona. Był to zdawna ustalony zwyczaj miejscowy, i Warburton chciał go za wszelką cenę utrzymać. Ale jadali oddzielnie, Cooper w bungalowie, a Warburton na forcie. Po skończonej pracy udawali się na przechadzkę, każdy w inną stronę. W tej krainie, gdzie dżungla graniczyła z plantacjami wioski, mało było ścieżek, nadających się do spaceru. Warburton, dostrzegłszy zdaleka swego pomocnika, zawracał i robił duże koło, żeby się z nim nie spotkać. Cooper działał mu już na nerwy swoim złem wychowaniem, zarozumiałością i nietolerancją. Jednakże dopiero po paromiesięcznym koleżeństwie zaszedł wypadek, który zamienił antypatję rezydenta w gorzką nienawiść.

Zmuszony raz jechać na objazd okręgu zostawił stację na opiece Coopera. Miał do niego zaufanie,

gdyż przekonał się ostatecznie, że młody człowiek jest bardzo obowiązkowy. Jedyną rzeczą, jaką mu można było zarzucić, był brak wyrozumiałości. Był uczciwy, sumienny i sprawiedliwy, lecz do krajowców nie żywił najmniejszej sympatii. Warburton zrobił gorzko-humorystyczne spostrzeżenie, że ten człowiek, który uważał się za równego lepszym od siebie, traktował tylu ludzi jako niższych. Był surowy, bezwzględny dla umysłowości tubylców i skłonny do okazywania swej władzy. Warburton zorientował się wprędce, że Malajczycy odnoszą się do niego ze strachem i antypatją. Nie sprawiło mu to wielkiej przykrości. Nie byłby rad, gdyby pomocnik rywalizował z nim na punkcie popularności. Po starannych przygotowaniach wyruszył na ekspedycję, z której powrócił po upływie trzech tygodni.

Tymczasem przyszła poczta. Pierwszą rzeczą, jaka uderzyła jego oczy po wejściu do gabinetu, był wielki stos porozkładanych gazet. Cooper wyszedł na jego spotkanie i razem weszli do pokoju. Warburton zwrócił się do jednego ze służących, którzy zostali w domu, i zapytał go surowo, kto pozdejmował opaski z gazet.

Cooper pośpieszył z wyjaśnieniem.

— Chciałem się dowiedzieć wszystkiego o morderstwie w Wolverhampton i pożyczyłem sobie pańskiego Times'a. Odniosłem zpowrotem wszystkie numery. Wiedziałem, że nie weźmie mi pan tego za złe.

Warburton zwrócił się do niego z twarzą, podobną z gniewu.

— Właśnie, że zrobił mi pan wielką przykrość.

— Bardzo pana przepraszam — rzekł spokojnie pomocnik. — Moja wina. Nie mogłem się poprostu doczekać, aż mi je pan sam pożyczy.

— Dziwię się, że nie otworzył pan również moich listów.

Cooper uśmiechnął się. Irytacja szefa nie wyprowadziła go z równowagi.

— O, to co innego. Ostatecznie, nie mogłem sobie wyobrazić, żeby pan gniewał się o taką drobnostkę. Przecież w tych gazetach niema nic prywatnego.

— Nie lubię, jak kto czyta moje gazety, zanim ja je przerzucę.

Podszedł do stosu gazet, składającego się z blisko trzydziestu numerów.

— Postąpił pan w najwyższym stopniu ordynarnie. Wszystko w nieładzie.

— Możemy je z łatwością ułożyć podług numerów — rzekł Cooper, podchodząc do stołu

— Proszę tego nie dotykać — krzyknął Warburton.

— To poprostu dzieciństwo robić scenę o takie głupstwo.

— Jak pan śmie tak się do mnie odzywać?

— Ech, idź pan do wszystkich djabłów! — odrzucił Cooper i wybiegł z pokoju.

Rozwścieczony Warburton pozostał sam ze swymi gazetami. Brutalne, nieczułe ręce pozbawiły go tym razem jednej z największych przyjemności życia. Większość ludzi, żyjących zdala od świata, rzuca się

niecierpliwie na pocztę z ojczyzny, zdzierając opaski najprzód z ostatnich gazet.

Warburton należał do innej kategorii wygnańców. Jego agent prasowy miał instrukcje wypisywania dat gazet na wierzchu na opaskach, tak, że po przybyciu wielkiej paki pozostawało mu tylko ułożyć numery podług dat i podkreślić te ostatnie niebieskim ołówkiem. Starszy służący miał rozkaz umieszczania co rano jednego numeru na stole werandy obok herbaty. Warburton, pijąc herbatę, zrywał opaskę i przystępował do czytania ostatnich nowin. Sprawiało mu to szaloną przyjemność i dawało złudzenie, że jest w kraju. W każde poniedziałkowe rano czytał poniedziałkowego Times'a z przed sześciu tygodni i tak dalej przez cały tydzień. W niedziele czytywał Observera. Wiązało go to z cywilizacją tak samo, jak zwyczaj przebierania się do obiadu. Dumny był z tego, że bez względu na sensacyjność nowin nigdy nie uległ pokusie utworzenia jakiegoś numeru przed oznaczonym terminem. W czasie wojny zawieszenie bywało niekiedy nie do zniesienia. Wiadomość o rozpoczęciu ofensywy przyprawiła go raz o agonję niepewności, której mógł sobie łatwo zaoszczędzić, otworzywszy następną gazetę. Była to najcięższa próba wytrzymałości, jaką sobie narzucił, ale wyszedł z niej zwycięsko. I pomyśleć tylko, że ten błazen porzywał wszystkie opaski poto tylko, aby się dowiedzieć, czy jakaś okropna kobieta zamordowała swego znieprawidzonego męża, czy też nie.

Warburton zawołał chłopca i kazał mu przynieść

opaski. Poskładał starannie gazety, powkładał je w opaski i ponumerował. Ale melancholijna to była praca.

— Nigdy mu tego nie przebaczę — rzekł. — Nigdy!

Ma się rozumieć, jego chłopiec był z nim na ekspedycji. Zawsze go zabierał ze sobą, bo spryciarz wiedział, jak chodzić koło swego pana. Rezydent nie należał do ludzi, którzy, podróżując po dżungli, obchodzą się bez wygód. Zaraz po przyjeździe chłopak udał się na plotki na kwatery służby, skąd przyniósł wiadomość, że Cooper miał trudności ze swymi słuźącymi, którzy opuścili go co do jednego z wyjątkiem młodzieńczego Abasa. Abas też chciał odejść, ale powstrzymała go obawa przed wujem, który go oddał na służbę z polecenia rezydenta. Czekał tedy na jego powrót.

— Powiedziałem mu, że dobrze zrobił, tuan — rzekł chłopiec. — Ale jest nieszczęśliwy. Mówi, że to zła służba, i pyta się, czy może odejść tak, jak tamci.

— Nie. Musi zostać. Tuan musi mieć słuźących. Czy ci, którzy odeszli, zostali zastąpieni?

— Nie, tuan, żaden z naszych nie chce tam iść. Warburton zmarszczył czoło.

Cooper był zuchwałym osłem, ale zajmował urzędowe stanowisko i powinien był mieć odpowiednią służbę. Nie wypadało, aby dom stał na niższej stopie, niż tego wymagał ustalony zwyczaj.

— Gdzie są ci chłopcy, którzy zbiegli?

— W kampongu, tuan.

— Idź i powiedz im, że spodziewam się, iż jutro skoro świt znajdą się zpowrotem u tuana Coopera.

— Tuan, oni mówią, że nie pójdą.

— Na mój rozkaz?

Służący był na służbie u Warburtona przez piętnaście lat i znał wszelkie intonacje głosu swego pana. Nie bał go się, o, nie! Zbyt wiele razem przeżyli. Raz w dżungli rezydent uratował mu życie. A raz znowu, gdyby nie on, rezydent byłby utonął w wartkim nurcie. Wiedział jednak, kiedy należało go słuchać bez szemrania.

— Pójdę do kampongu — rzekł.

Warburton spodziewał się, że jego podwładny skorzysta z pierwszej sposobności, aby go przeprosić, lecz Cooper, jak wogóle wszyscy źle wychowani ludzie, niezdolny był do wyrażania żalu. Przy spotkaniu w urzędzie na drugi dzień rano zignorował incydent jako niebyły. Ponieważ Warburtona nie było przez trzy tygodnie, trzeba było urządzić nieco dłuższą konferencję. Załatwwszy się z tem, rezydent odprawił pomocnika.

— To już chyba wszystko. Dziękuję panu.

Cooper wstał, chcąc odejść, lecz Warburton powstrzymał go gestem ręki.

— Słyszę, że miał pan nieprzyjemności ze swoimi służącymi.

Cooper zaśmiał się chrapliwie.

— Próbowali mnie szantażować. Zuchwałe wankonie — odważyli się drapnąć, wszyscy z wyjątkiem

tego niedołęgi, Abasa — wiedział, gdzie mu dobrze — ale nie ustąpił ani na jotę, i wszyscy znów przyszedli do nogi.

— Co pan przez to rozumie?

— Dziś rano stawili się wszyscy do zajęć nawet Chińczyk-kucharz. Spokojni, pewni siebie — myślałby kto, że oni są panami, a ja służącym. Przyszli prawdopodobnie do wniosku, że nie jestem takim głupcem, na jakiego wyglądam.

— Ale gdzież tam. Powrócili na mój rozkaz.

Cooper zaczerwienił się lekko.

— Byłbym panu bardzo obowiązany za niewtrącanie się w moje prywatne sprawy.

— To nie są pańskie prywatne sprawy. Ucieczka służących postawiła pana w śmiesznym świetle. Ma pan najzupełniejsze prawo robić z siebie głupca, ale ja nie mogę dopuścić do tego, żeby inni z pana robili głupca. Nie wypada, żeby pan nie posiadał odpowiedniego personelu służbowego. Dowiedziawszy się, że pańscy chłopcy odeszli, kazałem im natychmiast wrócić. Skończyłem.

Skinął głową na znak, że rozmowa skończona. Cooper udał, że tego nie widzi.

— Czy chce pan wiedzieć, co zrobiłem? Zawołałem wszystkich draniów i dałem im odprawę. Rozkazałem, żeby w ciągu dziesięciu minut ani jeden nie został się w obrębie zabudowań.

Rezydent wzruszył ramionami.

— Czy pan przypuszcza, że tak łatwo będzie dostać innych?

— Powiedziałem memu sekretarzowi, aby się tem zajął.

Warburton myślał przez chwilę.

— Uważam, że postąpił pan bardzo nierozumnie. Niech pan na przyszłość pamięta, że jaki pan taka służba.

— Czy to wszystko? Ma pan może jeszcze w zanadrzu jaką przestrożę?

— Chciałbym pana nauczyć dobrych manier, ale byłaby to niewdzięczna praca, i zresztą nie mam czasu do stracenia. Postaram się o nowych służących dla pana.

— Proszę, nie trudź się pan z mego powodu. Sam potrafię dać sobie radę.

Warburton uśmiechnął się kwaśno.

Odczuwał, że Cooper nie znosił go tak samo, jak on jego, i wiedział, że niema większej tortury, jak być zmuszonym korzystać z usług człowieka, którego się nienawidzi.

— Pozwól pan sobie powiedzieć, że pańskie szanse dostania teraz służby malajskiej czy chińskiej nie są większe niż możliwość znalezienia tutaj angielskiego lokaja czy francuskiego kucharza. Nikt się nie zgodzi przyjąć u pana służby, jeżeli ja nie rozkażę. Czy życzy pan sobie, abym wydał rozkaz?

— Nie.

— Jak się panu podoba. Dowidzenia.

Rezydent śledził bieg wypadków z kwaśnym humorem. Sekretarzowi Coopera nie udało się zwerbować żadnego Malajczyka, Dajaka czy Chińczyka. Nikt

nie chciał iść na służbę do osławionego pana. Abas, jedyny chłopiec, który mu pozostał wierny, umiał gotować tylko na sposób krajowców. Cooper pomimo niewybrednego smaku nie mógł znieść wiecznego ryżu. Nie było komu nosić wody, a przy tych strasznych upałach musiał się kąpać kilka razy na dzień. Kłął Abasa, który przeciwstawiał mu ponury upór i robił tylko tyle, ile sam chciał. Drażniła go myśl, że chłopak nie opuszcza go nie z własnej woli, lecz na życzenie rezydenta. Ciągnęło się to przez dwa tygodnie, i nagle pewnego poranka dom jego zaroił się tymi samymi służącymi, których odprawił. Wpadł w szalony gniew, ale nauczony doświadczeniem, pozwolił im pozostać. Połknął swoje upokorzenie, lecz niecierpliwa pogarda, jaką żywił dla idjosynkrazji swego szefa, przeobraziła się w zjadliwą nienawiść. Złośliwy manewr rezydenta uczynił go pośmiewiskiem wszystkich tubylców.

Dwaj biali przestali się ze sobą komunikować. Złamali uświęcony tradycją zwyczaj trącania się kieliszkiem dzień w dzień o szóstej wieczorem z każdym białym człowiekiem, obecnym na stacji, wbrew i pomimo osobistych antypatyj. Każdy wegetował samotnie w swoim domu tak, jakby drugi nie istniał. Teraz, kiedy Cooper zaznajomił się z rutyną urzędowania, nie było potrzeby, aby się często widywali. Warburton posyłał swemu pomocnikowi rozkazy przez ordynansa, a instrukcyj udzielał na piśmie. Prawda, że widywali się bezustannie, było to nieuniknione, lecz wymieniali najwyżej po kilka słów na

tydzień. Fakt, że nie mogli unikać nawzajem swego widoku, działał im na nerwy. Medytowali nad swoim antagonizmem. Warburton w czasie swoich codziennych spacerów rozmyślał prawie wyłącznie o znieprawdzonym pomocniku. Wszystko inne straciło dla niego urok.

Najgorsze ze wszystkiego było to, że według wszelkiego prawdopodobieństwa mieli tu pozostać połączeni i jednocześnie rozdzieleni śmiertelną nienawiścią aż do odjazdu Warburtona na urlop. Do tego czasu mogły upłynąć trzy lata.

Nie miał powodu do posyłania skargi na swego podkomendnego. Cooper był doskonałym pracownikiem, i obecnie trudno było o ludzi. Prawda! Dochodziły go nieokreślone słuchy, że młody arogant nie cieszy się wśród krajowców sympatją. Prawda! Skarżyli się i szemrali. Jednakże po wejrzeniu w specyficzne okoliczności okazało się, że Cooper poprostu zastosował surowość tam, gdzie byłaby wskazana łagodność, i kierował się bezwzględną sprawiedliwością tam, gdzie on, Warburton, okazałby współczucie. Jednym słowem znieprawdzony pomocnik nie uczynił nic takiego, za coby go można było pociągnąć do odpowiedzialności.

Jednakże Warburton nie spuszczał go z oka. Nienawiść czyni ludzi jasnowidzącymi. Miał podejrzenie, że Cooper obchodzi się z tubylcami bezwzględnie, trzymając się jednak w granicach, zakreślonych przez prawo, w chytrej przeświadczeniu, że doprowadza tem swego szefa do bezsilnej furji.

Może nie wytrzyma i przekroczy kiedyś niedozwolone granice! Warburton czekał. Wiedział z doświadczenia, jak bardzo rozdrażniają człowieka upały i jak trudno jest utrzymać się w karchach woli po bezsennej nocy. Uśmiechał się do siebie i pomrukiwał złowieszczo.

Prędzej czy później Cooper zda się na jego łaskę i niełaskę.

Kiedy wreszcie nadarzyła się oczekiwana okazja, Warburton zaśmiał się głośno. Cooper miał nadzór nad więźniami, którzy budowali drogi, stawiali szopy, wiosłowali w razie potrzeby na prahu, utrzymywali w czystości osiedle i wykonywali wszelkie inne pożyteczne prace. Jeżeli zachowywali się wzorowo, używano ich nawet do posług w domach. Cooper orał w nich, jak mógł. Lubił widzieć ich przy pracy. Lubił obmyślać dla nich nowe roboty. Więźniowie szybko się spostrzegli, że każą im wykonywać bezużyteczne prace, to też ociągali się i guzdrali. Cooper ukarał ich przedłużeniem dnia pracy. Było to przeciwne przepisom. Warburton, dowiedziawszy się, co się stało, cofnął instrukcje pomocnika i przywrócił dawne godziny, wszystko to poza plecami tego ostatniego.

Cooper, idąc wieczorem na spacer, zobaczył ze zdumieniem, że skazańcy wracają do więzienia wbrew jego rozkazowi, aby pracowali do samego zmierzchu. Zapytał dozorcę, co to miało znaczyć, i usłyszał w odpowiedzi, że rezydent odwołał jego zarządzenie.

Nieprzytomny z gniewu udał się na fort. War-

burton z laseczką w rękę, w niepokalanie białym garniturze i eleganckim korku wyruszał właśnie na popołudniowy spacer w orszaku ulubionych psów. Śledził Coopera i wiedział, że wróg poszedł nad rzekę. Tymczasem Cooper wbiegł po schodkach i stanął przed nim twarz w twarz.

— Przyszedłem się dowiedzieć, jakim prawem, u diabła, cofnął pan mój rozkaz, że więźniowie mają pracować do szóstej — wybuchnął, nie posiadając się z furji.

Rezydent otworzył szeroko stalowe, niebieskie oczy i przybrał wyraz wielkiego zdziwienia.

— Czyś pan oszalał? Czy jesteś na tyle ograniczony, że nie wiesz, jakim tonem powinno się przemawiać do zwierzchnika?

— Idź pan do diabła! Więźniowie do mnie należą, i panu od nich wara. Pan ma swój wydział i ja swój. Chciałbym wiedzieć, w jakim celu jestem ośmieszony! Cała okolica dowie się, żeś pan odwołał mój rozkaz.

Warburton zachował zimną krew.

— Nie miał pan prawa wydawać takich instrukcyj. Odwołałem je, bo były nielitościwe i tyrańskie. Wierz mi, młody człowieku, że sam zrobiłeś z siebie większego głupca niż ja z ciebie.

— Znienawdził mnie pan od pierwszej chwili. Robił pan wszystko, co tylko było możliwe, żeby mi zatruć życie dlatego, że nie chciałem lizać pańskich butów. Prześladuje mnie pan za to, że nie jestem pochlebcą.

Cooper syczał z wściekłości. Zanośliło się na to, że poruszy niebezpieczny temat. Oczy Warburtona zrobiły się nagle zimne i przenikliwe.

— Mylisz się, chłopcze. Uważałem cię za chama, ale z twojej pracy byłem najzupełniej zadowolony.

— Ty snobie! Ty przeklęty snobie! Uważałeś mnie za chama, bo nie byłem w Eton. O, uprzedzili mnie w Kuala Solor, czego się mam spodziewać. To jeszcze dotąd nie wiesz, że jesteś pośmiewiskiem całego kraju? O mało nie ryknąłem śmiechem, kiedy zacząłeś opowiadać swoją sławną historyjkę o księciu Walji. Mój Boże! Co to był za śmiech, jak mi to opowiadali w klubie. Na Boga, wolę już być takim chamem, jak jestem, niż takim snobem, jak ty, pyszałku!

Warburton poczuł się dotknięty do żywego.

— Wynoś mi się zaraz z mego domu, bo inaczej dostaniesz kijem! — krzyknął.

Tamten zbliżył się o krok i przysunął twarz do twarzy przeciwnika.

— Dotknij mnie tylko — syknął. — Na Boga, chciałbym, żebyś mnie uderzył. Czy mam powtórzyć to samo? Snob! Snob!

Cooper był o trzy cale wyższy od Warburtona i w dodatku był silnym, muskularnym młodzieńcem. Warburton był otyły i miał pięćdziesiąt cztery lata. Zacisnął pięść i wyrzucił ją do przodu. Cooper porwał go za ramię i odepchnął.

— Nie bądź głupcem. Pamiętaj, że nie jestem dżentelmanem i umiem bić.

Wydał coś w rodzaju okrzyku i, wykrzywiwszy bladą, chudą twarz szerokim szyderczym uśmiechem, zbiegł po stopniach werandy. Warburton, któremu serce biło z gniewu jak młotem, osunął się wyčerpany na krzesło. Dygotał całym ciałem niczem w ataku febry. Przez jedną okropną chwilę myślał, że się rozplacze. Ale nagle zdał sobie sprawę, że na werandzie jest starszy służący, i instynktownie odzyskał panowanie nad sobą. Malajczyk podszedł i podał mu szklanekę whisky z wodą sodową. Warburton porwał ją bez słowa i wychylił do dna.

— Co masz do powiedzenia? — zapytał, siląc się na uśmiech.

— Tuan, ten drugi tuan, pomocnik, jest zły człowiek. Abas chce go opuścić.

— Niech jeszcze trochę poczeka. Napiszę do Kuala Solor i poproszę, żeby tuana Coopera przenieśli gdzie indziej.

— Tuan Cooper jest zły dla malajskich ludzi.

— Odejdź teraz.

Służący odszedł w milczeniu.

Warburton pozostał sam na sam ze swojemi myślami. W wyobraźni jego majaczyła sala klubowa w Kuala Solor, dżentelmani we flanelowych garniturach, siedzący naokoło stołu i popijający whisky i dżin. Śmiech, gwar! Ktoś opowiada historyjkę o księciu Walji w Marienbadzie!...

Palił go wstyd, tragiczny wstyd! Czuł się złamany i nieszczęśliwy.

Snob! Wszyscy uważają go za snoba. A on uważał ich zawsze za zacnych ludzi i jako prawdziwy džentelmen nie dawał im nigdy odczuć swojej wyższości, pomimo, że było to środowisko niższego rzędu. Teraz ich nienawdził. Jednakże nienawiść do nich była niczem w porównaniu z nienawiścią do Coopera. Gdyby przyszło do bójki, Cooper byłby go pokonał. Po tłustej, czerwonej twarzy rezydenta spływały łyzy głębokiej udręki. Przesiedział na werandzie parę godzin, paląc papierosa za papierosem. Żałował, że nie spoczywa już pod ziemią.

Zjawił się chłopiec z zapytaniem, czy przebierze się do obiadu. Ależ naturalnie! Zawsze przebierał się do obiadu. Dźwignął się z trudem z krzesła. Włożył koszulę ze sztywnym gorsem oraz wysoki kołnierzyk, poczem zasiadł do ładnie przybranego stołu. Usługiwali mu jak zwykle dwaj chłopcy, podczas gdy dwaj inni poruszali wielkimi wachlarzami.

W oddalonym o dwieście kroków bungalowu spożywał swój nędzny posiłek Cooper, ubrany tylko w sarong i w baju, bosi i brudny. Prawdopodobnie, jeżdżąc, czytał powieść kryminalną.

Po obiedzie Warburton zasiadł do napisania listu. Sułtan był nieobecny, napisał więc prywatnie i poufnie do jego przedstawiciela. Cooper jest bardzo dobrym pracownikiem — pisał — cóż, kiedy nie można z nim wytrzymać. Grają sobie nawzajem na ner-

wach w okropny sposób. Uważałby za wielką łaskę, gdyby jego pomocnika przeniesiono gdzie indziej.

Wysłał list na drugi dzień rano przez specjalnego gońca. Odpowiedź nadeszła w dwa tygodnie później razem z miesięczną pocztą. Był to list prywatny i brzmiał, jak następuje:

Kochany Warburtonie!

Nie chcę odpowiadać urzędowo na Twój list. Wcześnie to załatwić drogą prywatną. Naturalnie, jeżeli Ci tak bardzo na tem zależy, to odniosę się z Twoją prośbą do sułtana, ale wolałbym tego nie robić. Wiem, że Cooper jest nieoszlifowanym diamentem, ale to zdolny człowiek, przeszedł dużo na wojnie, i należy mu się jakaś szansa. Uważam, że przywiązujesz zbyt wielką wagę do różnic klasowo-towarzyskich. Pamiętaj, że czasy się zmieniły. Naturalnie ładna to rzecz być dżentelmanem, ale nie tak ważna, jak kwalifikacje i pracowitość. Uważam, że przy odrobinie tolerancji stosunek Twój do Coopera ułożyłby się zupełnie znośnie.

Twój szczerze oddany
Ryszard Temple.

List wypadł z ręki Warburtona. Łatwo było czytać między wierszami. Ryszard Temple, którego znał od dwudziestu lat, Ryszard Temple, człowiek, pochodzący z zupełnie dobrej rodziny, uważa go za druha i dlatego tak potraktował jego prośbę. Warburton po-

czuł się nagle zniechęcony do życia. Świat, do którego należał, zapadł się w otchłań. Przyszłość należy do gorszej generacji. Generacji, reprezentowanej przez Coopera, śmiertelnie znienawidzonego Coopera. Wyciągnął rękę, aby napełnić szklanekę, i na ten gest stanął przed nim starszy służący.

— Nie wiedziałem, że tu jesteś.

Malajczyk podniósł list. Ach, więc na to czekał!

— Tuan, czy tuan Cooper odejdzie?

— Nie.

— Będzie nieszczęście!

Przez chwilę słowa te nie odbiły się w umyśle rezydenta żadnym echem. Ale tylko przez chwilę. Nagle wyprostował się w krzesło i spojrzał na służącego, cały zamieniony w słuch.

— Co to ma znaczyć?

— Tuan Cooper jest niesprawiedliwy względem Abasa.

Warburton wzruszył ramionami. Taki człowiek, jak Cooper, nie potrafi się obchodzić ze służbą. Znany typ — raz traktuje ludzi z rażącą poufałością, to znów znęca się nad nimi jak nad bydlętem roboczym.

— Niech Abas wróci do rodziny.

— Nie może, bo tuan Cooper nie wypłaca mu zasług. Od trzech miesięcy nie dał mu ani grosza. Każe mu być cierpliwym. Ale on jest wściki i nie chce słuchać rozsądnych rad. Jeżeli tamten tuan nie przestanie go dręczyć, będzie nieszczęście!

— Dobrze, żeś mi o tem powiedział.

Głupiec, och, głupiec! Więc tak mało zna

Malajczyków, że sędzi, iż można ich bezkarnie krzywdzić? Psiakrew, zasłużył sobie na pchnięcie krysem w plecy. Krys! Serce Warburtona przestało bić na jedną krótką chwilkę. Wystarczyłoby pozwolić wypadkom rozwijać się własnym trybem, aby Cooper zginął w ich nurcie. Rezydent uśmiechnął się słabo. Tak, bierność, zdanie się na bieg wydarzeń!... Serce zaczęło mu nagle bić przyspieszonym tętnem, gdyż ujrzał okiem wyobraźni znienawidzonego człowieka, leżącego twarzą do ziemi na ścieżce w dżungli z nożem w plecach. Dobry koniec dla chama i brutal!

Warburton westchnął.

Obowiązkiem jego było ostrzec rzykanta, i naturalnie musi to zrobić. Napisał doń krótki urzędowy list z rozkazem, aby się natychmiast stawił na forcie.

W dziesięć minut zjawił się Cooper. Nie rozmawiali ze sobą od dnia zajścia, kiedy to Warburton podniósł na niego pięść. Teraz nie poprosił go nawet, aby usiadł.

— Chciał się pan ze mną widzieć? — zapytał młody człowiek.

Był brudny i zaniedbany. Twarz i ręce miał pokryte czerwonymi znakami od ukąszeń moskitów. Drapał się ciągle aż do krwi. Na długiej, chudej twarzy malował się wyraz posępnej nienawiści.

— Doszły mnie wieści, że ma pan znowu kłopot ze służącymi. Abas, siostrzeniec mego starszego chłopca, skarży się, że od trzech miesięcy nie dostaje zasług. Uważam to postępowanie za bardzo naganne. Chłopak chce odejść, i nie mam mu

tego za złe. Żądam, żeby mu pan wypłacił całą należność.

— A ja chcę go zatrzymać. Nie wypłacam mu należności, i zmuszam go w ten sposób do dobrego sprawowania.

— Nie zna pan Malajczyków. To rasa niezmiernie wrażliwa na krzywdę i śmieszność, namiętna i mściwa. Moim obowiązkiem jest ostrzec pana, aby pan nie doprowadzał tego chłopaka do ostateczności, bo to może się źle skończyć.

Cooper zaśmiał się pogardliwie.

— Co on mi może zrobić?

— Może pana zabić.

— Panby chyba nie miał nic przeciwko temu

— Z pewnością nie — odrzucił ze słabym śmiechem rezydent. — Zniósłbym ten cios z pogodą ducha, ale moim obowiązkiem jest ostrzec pana, póki jeszcze czas.

— Myśli pan, że ja się boję tego durnego murzyna?

— Mało mnie to obchodzi.

— Więc pozwól pan sobie powiedzieć, że wiem, jak sobie dawać radę. Abas jest gałgan i złodziej i niech tylko spróbuje ze mną swoich małych sztuczek... Skręcę mu podły kark, jak Boga kocham!

— Skończone. Możesz pan odejść — rzekł Warburton.

Cooper zaczerwienił się, nie wiedział przez chwilę, co powiedzieć, poczem wykręcił się na pięcie i opu-

ścił pokój. Rezydent patrzył za nim z lodowatym uśmiechem na ustach. Wypełnił obowiązek! Co byłby jednak pomyślał, gdyby wiedział, że młody człowiek, powróciwszy do swego cichego, smutnego bungalowu, rzucił się na łóżko i w poczuciu swej gorzkiej samotności stracił nad sobą panowanie? Piersią jego wstrząsały bolesne łkania, a po chudych policzkach spływały ciężkie łzy.

Po tej rozmowie Warburton rzadko widywał Coopera i przestał się wogóle do niego odzywać. Czytał co rano Times'a, chodził do biura, odbywał spacer, przebierał się do obiadu, jadł i siadywał nad rzeką z cygarem w ustach. Spotkawszy przypadkowo Coopera, udawał, że go nie widzi. Każdy zachowywał się tak, jakby drugi nie istniał, chociaż ani na chwilę nie tracił poczucia wrogiej bliskości. Czas nie osłabiał ich wzajemnej nienawiści. Obserwowali się ukradkiem i wiedzieli wszystko o swoich czynnościach. Warburton w młodości był świetnym strzelcem, z wiekiem jednak nabrał wstrętu do mordowania dzikich mieszkańców dżungli. Zato Cooper zabawiał się strzelbą w niedziele i święta. Gdy mu się udało co upolować, wracał z triumfalną miną w przeświadczeniu, że zaimponuje wrogowi. W przeciwnym razie ten ostatni wrzasał ramionami i chichotał. Zachciało się lokajowi być sportsmanem! W święta Bożego Narodzenia przeżyli obaj ciężkie chwile. Zjedli obiad oddzielnie, każdy na swojej kwaterze, i upili się z rozpaczliwą premedytacją. Byli jedynymi białymi ludźmi w promieniu dwustu mil, a mieszkali tak blisko

siebie, że wystarczyło krzyknąć, aby się nawzajem usłyszeć. Po Nowym Roku Cooper dostał febry. Warburton, ujrawszy go po chorobie, zdumiał się, co się z nim stało. Młody człowiek wyglądał bardzo źle i był niemożliwie chudy. Samotność, o tyle nienaturalna, że nieprzymusowa, zaczęła mu działać na nerwy. To samo działo się z Warburtonem. Często nie sypiał po nocach. Leżał z otwartymi oczami, myśląc. Cooper pił naumór, i krytyczny moment był z pewnością bardzo bliski. Jednakże w stosunkach z krajowcami był ostrożny, aby się nie narazić na nagane szefa. Toczyli ze sobą cichą, zawziętą wojnę. Była to próba cierpliwości. Mijały miesiące. Żaden nie dawał znaku, że słabnie. Byli jak ludzie uwięzieni w krainie wieczystej nocy. Dusze ich łamały się pod brzemieniem świadomości, że nigdy im nie zaświta brzask poranka. Zanosilo się na to, że ta okropna egzystencja w jałowej, monotonnej, potwornej atmosferze nienawiści nigdy się wogóle nie skończy.

I kiedy wkońcu stało się to, co się stać musiało, Warburton doznał tak wstrząsającego wrażenia, jakby się tego nigdy nie spodziewał. Cooper oskarżył Abasa o kradzież ubrania. Na zaprzeczenie chłopca porwał go za kark i zrzucił kopnięciem ze schodów bungalowu, a na żądanie wypłacenia zasług odpowiedział potokiem obelg. Kazał wynieść mu się z zabudowań w przeciągu godziny i zagroził policją. Na drugi dzień rano Abas zastąpił mu drogę, gdy szedł do biura, i zażądał ponownie należności. Cooper uderzył go w twarz zaciśniętą pięścią. Chłopiec upadł

na ziemię i wstał z rozbitym nosem, z którego ciekła struga krwi.

Cooper odszedł. Praca tego dnia szła mu dziwnie ciężko. Nie mógł skupić myśli. Uderzywszy nartęta, ochłonął z gniewu i zrozumiał, że posunął się za daleko. Ogarnęło go przygnębienie. Czuł się chory, nieszczęśliwy i bezsilny. Za ścianą siedział Warburton. Miał impuls, aby iść i powiedzieć mu, co zrobił. Uniósł się na krzesle. Wiedział jednak, że jaką lodowatą pogardą zostanie przyjęte jego opowiadanie. Widział już pobłażliwy uśmiech szefa. Przez chwilę dygotał z trwogi na myśl o Abasie. Co on wymyśli? Warburton miał słuszność. Westchnął. Jakże głupio postąpił! Zresztą... Wzruszył niecierpliwie ramionami. Niech się dzieje, co chce. Co warte takie życie! A wszystko wina Warburtona. Gdyby nie jego arogancja, nie doszłoby do takich powikłań. Od samego początku życie jego uczynił piekłem. Snob! Ale wszyscy oni tacy. A to dlatego, że on, Cooper, pochodzi z kolonij. Wstyd, psiakrew, że w czasie wojny nie został oficerem. Czemże był gorszy od innych? Banda podłych snobów! Nie, nie ucieknie się do pokory. Naturalnie Warburton dowie się, co zaszło. Stara cholera wie o wszystkim. On, Cooper, niczego się nie boi, żadnego Malajczyka z Borneo. Warburton może sobie iść do djabła.

Miał rację, przypuszczając, że Warburton dowie się o wszystkim. Gdy rezydent udał się na tiffin, starszy służący czekał już z relacją.

— Gdzie jest teraz twój siostrzeniec?

— Nie wiem, tuan. Uciekł.

Warburton milczał. Po lunchu zwykł był pozwalać sobie na małą drzemkę. Tym razem jednak czuł się trzeźwy jak nigdy. Oczy jego szukały mimowoli bungalowu, w którym odpoczywał Cooper.

Idjota! Warburton poczuł pewne wahanie. Czy ten człowiek wie o grożącym mu niebezpieczeństwie? Czy on, jego zwierzchnik, nie powinien po niego posłać? Ale Cooper znieważał go za każdym razem, gdy próbował z nim argumentować. W sercu Warburtona wezbrał nagle wściekły gniew. Żyły wzdęły mu się na skroniach. Zacisnął pięści. Ostrzegął chama! Niech teraz połknie to, co sobie zgotował. To jego prywatna sprawa, i jeżeli się coś stanie, to tylko z jego winy. Może w Kuala Solor pożałują, że nie posłuchali dobrej rady i nie przenieśli idjoty na inną stację.

Tego wieczora Warburton był dziwnie zdenerwowany. Po obiedzie przechadzał się tam i zpowrotem po werandzie. Odchodzącego na swoją kwatere służącego zapytał, czy widział Abasa.

— Nie, tuan. Myślę, że może poszedł do wioski do brata swojej matki.

Rezydent spojrział na niego badawczo, ale słuchający miał spuszczone powieki, i oczy ich nie spotkały się. Udał się nad rzekę do altany, ale i tam nie znalazł spokoju. Rzeka płynęła cicha i złowieszcza, podobna do ogromnego węża, sunącego leniwie ku morzu. Nad drzewami dżungli, zarastającymi pobrzeże, zdawała się wisieć przytłaczająca groźba. Nie odzy-

wał się żaden ptak. Najłżejszy powiew wiatru nie poruszał liśćmi kasji. Cała natura zdawała się trwać w oczekiwaniu.

Przeszedł przez ogród i wydostał się na drogę, skąd było widać jak na dłoni bungalow Coopera. W pokoju bawialnym świeciła się lampa i z okna płynęły tony skocznej piosenki. Cooper zabawiał się gramofonem. Warburton zadrżał. Nigdy nie mógł przemóc w sobie instyktownej odrazy do tego instrumentu. Gdyby nie to, byłby poszedł do zatraceni-
ca i pomówił z nim. Zawrócił do fortu. Czytał późno w noc i wkońcu położył się spać. Nie spał długo. Dręczyły go straszne sny, i obudził się pod wrażeniem, że ktoś krzyknął. Naturalnie, musiało mu się przyśnić, bo w jego sypialni nie byłoby sły-
chać krzyków... z bungalowu. Do świtu nie zmrużył oka. I nagle usłyszał przyspieszone kroki i głosy. Do pokoju wpadł starszy służący z gołą głową, bez feza. Warburton poczuł, że serce przestało mu bić.

— Tuan, tuan!

Rezydent wyskoczył z łóżka.

— Idę.

Włożył pantofle i tylko w sarongu i pizamie pośpieszył do bungalowu Coopera, do jego sypialni. Młody człowiek leżał w łóżku z otwartymi ustami, z krysem, wbitym w serce. Został zabity we śnie. Warburton zatrząsł się nie dlatego, iż nie spodziewał się ujrzeć takiego widoku, ale dlatego, że poczuł przypływ nagłej radości. Spadł mu z ramion straszny ciężar,

Cooper był już zupełnie zimny. Warburton wyjął z rany krys. Był on wbity z taką siłą, że wymagało to dużego wysiłku. Poznał, co to była za broń. Krys ten ofiarowywał mu przed kilku tygodniami pewien handlarz. Wiedział, że kupił go później Cooper.

— Gdzie jest Abas? — zapytał surowo.

— W wiosce u brata swojej matki.

U stóp łóżka stał sierżant tubylczej policji.

— Weź dwóch ludzi, i idźcie go aresztować.

Warburton uczynił to, co należało. Wydawał rozkazy z zaciętą twarzą. Mówił krótko stanowczym tonem. Załatwiwszy się z wstępными formalnościami, powrócił na fort. Tu ogolił się, wykapał, ubrał i poszedł do jadalni. Obok nakrycia leżał w opasce The Times. Warburton nabrał na talerz owoców. Starszy służący nalał mu herbaty, podczas gdy drugi podał półmisek z jajkami. Rezydent jadł z apetytem. Starszy służący czekał.

— Co takiego? — zapytał pan.

— Tuan, Abas, mój siostrzeniec, przepędził całą noc w domu brata swojej matki. Są na to świadkowie. Jego wuj przysięgnie, że chłopak nie opuszczał kampongu.

Warburton zwrócił się do mówiącego ze zmarszczonem czołem.

— Abas zabił tuana Coopera. Wiesz o tem tak samo dobrze, jak i ja. Sprawiedliwości musi się stać zadość.

— Tuan, jego nie powieszają?

Warburton zawahał się chwilę, i chociaż głos je-

go pozostał twardy i surowy, w wyrazie oczu zaszła zmiana. Był to jeden błysk, jedno mgnienie, ale Malajczyk zdążył je pochwycić, i w jego własnych oczach zaświeciła iskra porozumienia.

— Prowokacja była wielka. Abas będzie skazany na więzienie.

Nastąpiła chwila milczenia. Dygnitarz sięgnął po marmeladę.

— Po odsiedzeniu kary wezmę go do siebie. Możesz go wyćwiczyć w obowiązkach służącego. Jestem przekonany, że złych przyzwyczajęń nabrał dopiero w służbie tuana Coopera.

— Tuan, czy Abas ma się przyznać?

— Wyjdzie mu to na dobre.

Służący wyszedł. Warburton wziął swego Times'a i rozerwał ostrożnie opaskę. Lubił rozwijać ciężkie, szeleszczące arkusze gazety. Ranek był rozkoszny, świeży i pogodny. Przez chwilę wodził po ogrodzie przyjacielskim spojrzeniem. Z serca spadł mu ogromny ciężar. Zaczął czytać kolumnę z anonсами o urodzinach, zgonach i ślubach. Te wiadomości najbardziej go interesowały, i zawsze czytał je najpierw. Znajome nazwisko przykuło jego uwagę. Lady Ormskirk doczekała się wreszcie syna. No, no, matka jej musi się cieszyć! Pośle jej życzenia następną pocztą.

Abas będzie świetnym lokajem!

Ach, ten głupiec Cooper!

Siła wyższa

Siedziała na werandzie, czekając z lunchem na męża. Służący malajski spuścił story, gdyż słońce zaczęło zbyt przypiekać. Odsunęła trochę jedną z nich, aby móc patrzeć na rzekę. Żar południa nadawał wodzie bladość śmierci. Malutkim czółnem, ledwie wystającym nad powierzchnię wody, płynął brunatnoskóry wiosłarz. Świat wyglądał szaro i mętnie. Jaskrawe światło tropikalnego słońca odejmowało rzeczom indywidualne barwy. Przypominało to wschodnią melodję w kluczu minorowym, działającą na nerwy swoją zawiłą monotonią, kiedy to ucho oczekuje z niecierpliwością bardziej zdecydowanej nuty i nie może się jej doczekać. Cykady ćwierkały z oszalałym zapałem. Głosy ich były tak samo równomierne i monotonne, jak szmer strumyka po kamieniach. Nagle zagłuszył je głośny śpiew ptaka, zanoszącego się słodką, radosną pieśnią. Młoda kobieta doznała przelotnego bólu w sercu, gdyż przypomniał jej się angielski kos.

Na wyżwirowanej ścieżce za bungalowem rozległ się odgłos kroków. Mąż wracał z sądu. Wstała z krzesła, aby się z nim przywitać. Wbiegł po schodkach, gdyż bungalow stał na palach, i oddał kork czekającemu u drzwi chłopcu. Wszedł do pokoju, służącego jednocześnie za bawialnię i jadalnię, i oczy jego na widok żony zapaliły się błyskiem radości.

— Hallo, Doris! Głodna?

— Jak wilk!

— Za minutę będę gotów. Tylko wezmę kąpiel.

— Spiesz się — rzekła z uśmiechem.

Zniknął w głębi garderoby. Słyszała, jak pogwizdywał wesoło, rozbierając się z właściwym sobie impetem i rzucając ubranie na podłogę. Nie mogła go nauczyć porządku. Pomimo dwudziestu dziewięciu lat był ciągle jeszcze uczniakiem. Chyba nigdy nie dorosnie! Dlatego się w nim zakochała, bo nawet przez szkiełka największej sympatji nie mógł się jej wydać przystojny. Mały, opiekły, z twarzą czerwoną i okrągłą jak księżyc w pełni, i niebieskimi oczkami!... Prawdziwy pączek w masle. Przystudjowała starannie jego powierzchowność i zmuszona była przyznać, że młody człowiek nie posiada ani jednego rysu, którymby mogła się zachwycać. Powiedziała mu to bez ogródek. Powtarzała często, że nie jest absolutnie jej typem.

— Nigdy nie uważałem się za pięknego — odpowiadał z wesołym śmiechem.

— Nie rozumiem, co ja w tobie widzę.

Ale naturalnie wiedziała dobrze, co ją do niego

pociągało. Był pogodnym, wesołym człowieczkiem, który nie brał niczego bardzo na serjo i wiecznie się śmiał. I ona musiała się też śmiać. Musiała. Traktował życie jako udany żart i miał zawsze na ustach czarujący uśmiech. W jego towarzystwie czuła się szczęśliwa i zrównoważona. I wzruszała ją wielka miłość, jaką czytała w jego wesołych, niebieskich oczach. Dobrze było być kochaną w taki sposób. Raz w czasie miodowego miesiąca, siedząc mu na kolanach, objęła rękami jego twarz i rzekła:

— Guy, jesteś mały, tłusty i brzydki, ale masz wdzięk. Nie mogę cię nie kochać.

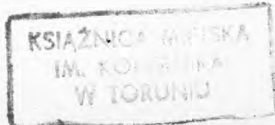
Wzruszenie ścisnęło ją za gardło, a oczy napełniły się łzami. Zauważyła, że i jemu twarz drgnęła nerwowo. Odpowiedział lekko drżącym głosem:

— Straszna to dla mnie rzecz, że ożeniłem się z kobietą, szwankującą na umyśle.

Zachichotała. Była to charakterystyczna odpowiedź, taka, jakiej się spodziewała.

Nie do uwierzenia, że jeszcze dziewięć miesięcy temu nie wiedziała nawet o jego istnieniu. Poznała go w małej miejscowości nadmorskiej, gdzie spędzała z matką miesiąc urlopu. Doris była sekretarką członka parlamentu. Guy bawił w kraju na urlopie. Stali w tym samym pensjonacie, i on zwierzył jej się prędko ze wszystkich swoich spraw. Urodził się w Sembulu, gdzie ojciec jego służył przez trzydzieści lat pod drugim sułtanem. Skończywszy studja, wstąpił do tej samej służby. Żywił głębokie przywiązanie do ziemi swego dzieciństwa.

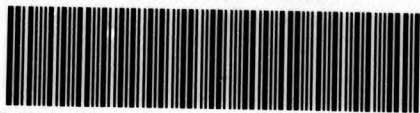
208884



208884

Książnica Kopernikańska - Toruń

nr inw.: Gzw - 208884



MAG 208884.01